ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

Rok VI. — Londyn, niedziela 17 grudnia 1950 — Nr. 51 (182)

TOMASZ DOBROWOLSKI

PRÓBA SYNTEZY

FILOZOFIA nie jest nauką oderwaną od otaczającej nas rzeczywistości. Wielu ludzi, nie znających filozofii, lub znających ją bardzo pobieżnie, wyobraża sobie, że jest ona jakimś abstrakcyjnym teoretyzowaniem, nie mającym swego odpowiednika w życiu. Takie pojęcie filozofii jest czymś z gruntu fałszywym i powstało jako wynik różnych szkół myślenia niepełnych i fragmentarycznych, zajmujących się jedynie drobnymi wycinkami rzeczywistości, pojmowanej w sposób bardzo osobisty, — rzeczywistości przeważnie wypaczonej, często urojonej.

Te kierunki myślenia zwłaszcza, których twórcy poszukiwali oryginalności i rozgłosu raczej, niż obiektywnej prawdy, przyczyniły się wybitnie do powstania fałszywego pojęcia o filozofii.

Filozofia, wyraz grecki oznaczający dosłownie *miłość wiedzy*, jest określana przez wielkich myślicieli chrześcijańskich, jako *nauka o ostatecznych przyczynach wszechrzeczy, osiągnięta naturalnym światłem rozumu ludzkiego*. W tym określeniu należy zwrócić szczególną uwagę na znaczenie słowa *nauka*. Znaczenie tego słowa polega na tym, że określa ono filozofię nie jako masę chaotycznie rozrzuconych i nie związanych z sobą wiadomości, ale wprowadza pojęcie jednolitości i całości, czegoś, co możemy określić przez inną nazwę — *system*.

Czym różni się w ten sposób pojęta filozofia od innych nauk, od matematyki, astronomii, fizyki, chemii, biologii, prawa, czy historii? Wszystkie te nauki zajmują się badaniem, systematyzowaniem różnych gałęzi otaczającej nas rzeczywistości, pracują przy tym w pewien wspólny dla nich sposób, który nazywa się ogólnie *metodą naukową*. Czy więc filozofia jest równorzędna każdej z tych nauk? O każdej z wymienionych gałęzi nauk możemy odrazu powiedzieć, czym się zajmuje, nawet jeśli trudno by nam było nieraz określić to jasno w słowach. Jakaż więc dziedzina filozofii? Czym ona się zajmuje i co jest przedmiotem jej badania?

W odpowiedzi na to pytanie pomoże nam przytoczone wyżej określenie filozofii. Mówi ona wyraźnie o badaniu wszechrzeczy *w ich ostatecznych przyczynach*.

I tutaj znajduje się decydująca różnica między filozofią a innymi gałęziami nauki, które przykładowo wymieniłem. Każda z tych nauk zajmuje się jakimś specjalnym zagadnieniem, jakąś ściśle określoną dziedziną wiedzy ludzkiej. Czyni to, posługując się wspomnianą wyżej metodą naukową, to znaczy zajmuje się w pierwszym rzędzie badaniem dostępnych naszej świadomości zjawisk, które, o ile określa ponad wszelką wątpliwość, że mają naprawdę miejsce w rzeczywistości — nazywa *faktami*. Stwierdza dalej na podstawie obserwacji, że poszczególne fakty są związane ściśle z innymi, że zachodzi między nimi pewna widoczna zależność. Każda z nauk bada tę widoczną zależność między faktami, leżącymi w jej dziedzinie, wyciąga z nich pewne wnioski, a jeśli obserwowane zależności nie mają charakteru przypadkowego, ale stały — to wtedy nauka dochodzi do sformułowań, do odkrycia niejako, pewnych praw, rządzących daną dziedziną zjawisk.

A gdzież tu jest miejsce dla filozofii? Otóż tak, jak każda z nauk łączy w naszym umyśle w pewną harmonijną całość pokrewne sobie zjawiska z jednej dziedziny, tak filozofia harmonizuje z sobą inne nauki. Więcej. Ona je wyprzedza i toruje im drogę. Wskazuje umysłowi człowieka zasadniczą harmonię i ciągłość wszechświata. Każda z nauk opiera się na swej własnej i sobie właściwej częściowej filozofii, ale filozofia, jako całość nie ma przed sobą tych ograniczeń, jakie leżą przed innymi naukami. Ona *bada ostateczne przyczyny wszechrzeczy* i rozwija je wspaniale w tym punkcie, gdzie inne nauki nie potrafią w danej chwili posunąć się dalej.

I w tym właśnie miejscu w rozwoju każdej nauki, gdzie pozytywna wiedza ludzka stoi wahając się na chwilowej granicy swego rozwoju, gdzie wkracza w nieznane sobie dotychczas dziedziny i próbuje się posuwać ścieżkami sprzecznych z sobą teorii i przypuszczeń, — właśnie najjaskrawiej uwidacznia się znaczenie prawdziwej filozofii, opartej na wielowiekowym rozwoju umysłu ludzkiego w drodze do odwiecznej Prawdy, — znaczenie Filozofii Wieczystej*).

Niezrozumienie istoty filozofii prowadzi często wybitnych uczonych, specjalistów w swoich dziedzinach, do niedoceniania jej znaczenia, często z dużym uszczerbkiem dla własnej pracy. Długoletni współpracownik prof. Einsteina, dr. Leopold Infeld, (którego niespodziewany wyjazd w tym roku z Kanady za „żelazną kurtynę" zjednał mu wiele wątpliwej wartości rozgłosu w prasie całego świata), pisze o filozofii, jak ją określa, spekulatywnej, że straciła ona rację bytu, gdyż problemy, jakie wysuwała, „zostały pochłonięte przez fizykę, matematykę, biologię, czy psychologię". Otóż nie mówiąc już o tym, że wiedza, jak ją nazywa Infeld, pozytywna, jest jeszcze ciągle zaledwie u podnóża tych wszystkich zagadnień, nad którymi umysł ludzki pracuje od dziesiątków wieków w filozofii — niezależnie od tego — właśnie postęp tej pozytywnej wiedzy ludzkiej, rozszerzającej nasze horyzonty myślenia i opierające się na coraz szerszym doświadczeniu — stawia przed filozofią coraz to nowe problemy, pozwalając nam zresztą od jeszcze jednej strony podziwiać harmonijną strukturę tego gigantycznego i rosnącego ciągle pomnika myśli ludzkiej — Filozofii Wieczystej.

Ale z tego nieprzerwanego pochodu nauki, z ciągłego przesuwania się granicy pomiędzy wiedzą „pozytywną" i filozofią wypływa jeszcze jedna, drobna może, ale bardzo istotna korzyść dla całego naszego pokolenia. Filozofia, jak każda zresztą nauka, badając fakty i zachodzące między nimi zależności, wytworzyła na przestrzeni wieków swój własny język naukowy, swoje własne, jakbyśmy powiedzieli dzisiaj, zwroty techniczne, które dla większosci naszego pokolenia, nie zaprawionego do myślenia filozoficznego, są zupełnie obce i nastręczają olbrzymie trudności przy wszelkich rzetelnych próbach zbliżenia się do filozofii. Stwierdzili to na sobie ci z nas, którzy zapoznali się z niezwykłej wartości pracą Ojca Bocheńskiego: „*ABC Tomizmu*". Jakkolwiek mało przeciętnie wykształcony człowiek orientuje się np. w Teorii Względności Einsteina, pozostaje faktem, że czterowymiarowa czasoprzestrzeń wydaje się pojęciem bliższym naszej umysłowości, niż hylemorfizm tomistyczny, niezależnie nawet od samej obcości brzmienia. I kiedy nauka „pozytywna" wchodzi teraz w dziedziny, które do niedawna były w wyłącznym posiadaniu ścisłej filozofii, to swoją własną terminologią, która jest dla nas niejednokrotnie łatwiejsza do uchwycenia, otwiera nam nie najbliższą może, ale nie mniej ważną ścieżkę do lepszego zrozumienia wielu zagadnień filozoficznych.

Korzyść, przytem, wynikająca z tej niejako konfrontacji osiągnięć wiedzy, zwanej pozytywną z zasadniczymi założeniami filozofii, wydaje się być dwustronna. Z jednej strony terminologia ścisła danej gałęzi nauki umożliwia nam niejako nowe podejście do trudnych zagadnień filozoficznych, z drugiej zaś strony zestawienie nowych teorii naukowych, nie wychodzących nieraz jeszcze poza granice przypuszczeń, z potwierdzonymi wielowiekową pracą największych umysłów ludzkości zasadami Filozofii Wieczystej, daje nam możność spojrzenia na te teorie naukowe we właściwym, krytycznym świetle, a przez dostrzeżone analogie pozwala nieraz na przewidzenie kierunku rozwoju nauki. Tak przeświadczenie o panującej w wszechświecie harmonii doprowadziło Einsteina do jego Teorii Jednolitego Pola.

Weźmy konkretną dziedzinę w fizyce nowoczesnej —*światło*. Panująca przez dziesiątki lat w fizyce teoria fal, oparta na traktowaniu światła, jako czystej energii, nie mającej żadnych pierwiastków materialnych, tłumaczyła wystarczająco dokładnie wszystkie niemal zjawiska z tej dziedziny. Okazało się jednak, że istota zjawiska światła nie da się teorią fal w zupełności wytłumaczyć. Powstała z kolei Teoria Kwantów Planck'a, rozwinięta później przez Einsteina, wyjaśniła zjawiska świetlne drobnymi cząsteczkami materialnymi światła, fotonami. Ale i ta teoria nie objaśniła istoty wszystkich zjawisk. Okazało się, że w pewnych warunkach światło zachowuje się tak, jak powinnaby się zachować teoretycznie czysta energia, w innych znowu wypadkach zjawisko światła przedstawiało się raczej jako ruch cząsteczek materialnych. Reszty zamieszania dopełnił Einstein, udowadniając ścisłą zależność między tym, co przywykliśmy uważać za czystą materię, a tym, co było uważane za czystą, niematerialną energię. Ujawniło się przy okazji, że światło podlega również prawu ciążenia. I teraz przeważająca część uczonych fizyków przyznaje się otwarcie, że nie potrafi odpowiedzieć na pytanie, czy światło jest materią czy energią, że to zresztą nie jest ważne; ważne jest jedynie — jakim prawom podlega działanie światła. Innymi słowy, nieważne jest co, ale ważne — jak.

A teraz spróbujemy, czy filozofia potrafi rzucić nieco światła na to zagadnienie.

Wspomniana uprzednio zasada hylemorficzna wskazuje nam, że każdy byt fizyczny składa się z dwóch nierozerwalnych pierwiastków — pierwiastka biernego — hyle, czyli materii i pierwiastka czynnego — morphe, czyli formy. Forma określana jest inaczej jako akt, albo energia. Oba te pierwiastki są konieczne w każdym bycie fizycznym. Żaden z nich nie posiada bytu odrębnego, żaden z nich nie może istnieć sam przez się w oderwaniu od drugiego.

Ciekawa zbieżność — nieprawdaż?

A to sformułowanie nie jest wynikiem odkryć naukowych dwudziestego wieku. Jest to doktryna Arystotelesowska, rozwinięta i opracowana przez św. Tomasza z Akwinu, przedstawiciela Średniowiecza, wielkiego filozofa Scholastycyzmu. Tego Scholastycyzmu, tak pogardliwie traktowanego do niedawna przez „oficjalną" naukę.

Ale, odpowie ktoś, przecież właśnie Einstein udowodnił możliwość przemiany materii na energię. Przecież to jego teoretyczne rozważania znalazły nawet swój dowód praktyczny w bombie atomowej...

Tak jednak nie jest.

Jedyny wniosek, jaki można wysunąć z tych odkryć naukowych ostatniej doby, jest ten, że to, co było przez długi czas uważane za czystą materię, zawiera w sobie olbrzymie ilości tego, co było i jest częściowo uważane za energię. Ale ta sama energia posiada jednocześnie istotne cechy przypisywane do niedawna t. zw. czystej materii.

Teorie naukowe zmieniają się ciągle. Filozofia Wieczysta, oparta na wielowiekowych przemyśleniach ludzkości nie ma potrzeby legitymowania się Ogólną Teorią Względności dla uzasadnienia swego istnienia. Ale jej wieczna młodość i wieczysta aktualność polega na tym właśnie, że nie jest ona oderwana od życia i rzeczywistości, ale przy konfrontacji z nimi nabiera nowych blasków i nowych rumieńców. To nie jest stara, wysuszona średniowieczna mumia, lecz dojrzały i odradzający się ciągle owoc myśli ludzkiej, zdążający od wieków ku obiektywnej, rzeczywistej Prawdzie.

Tomasz Dobrowolski

---

*) Do pojęcia Filozofii Wieczystej, różniącej się zasadniczo od często błędnych a zawsze niepełnych różnych systemów filozoficznych, powrócę kiedyindziej.

ŚWIĄTECZNY NUMER „ŻYCIA"

Ukaże się z datą 24 grudnia 1950 jako numer podwójny 52/53. Numer ten bogato ilustrowany i zawierający wiele interesującej treści mimo podwójnej objętości kosztować będzie tylko 1/6.

Wszyscy, którzy pragną zapewnić sobie nabycie tego numeru zechcą go sobie zamówić u swego stałego kolportera albo wprost w Administracji. Zamówienia od p.p. kolporterów i poszczególnych osób przyjmujemy do dnia 15 grudnia włącznie, celem, ustalenia nakładu.

Artykuły, opowiadania i szkice do numeru świątecznego ŻYCIA przyrzekli nadesłać:

J. Bielatowicz, o. I.M. Bocheński, Z. Bohdanowiczowa, J. Czapski, M. Czapska, T. Dobrowolski, J. Jasnowski, Z. Kossak, X. J. T. Milik, B. Obertyńska, S. Pałęcki, Al. Poleska, B. Przeradzki. Fr. Strzałko, Wit Tarnawski, J. Tokarski, J. Wepsięć, S. Vincenz, M. Winowska i inni.

ROLA KATOLICKIEGO INTELIGENTA

Z ZEBRAŃ DYSKUSYJNYCH „VERITASU"

LISTOPADOWY week-end dyskusyjny ,,Veritasu" był poświęcony omówieniu XXI kongresu ,,Pax Romana" w Amsterdamie. Zgodnie z tradycją week-endów, które nie mają charakteru zebrań zamkniętych, przeznaczonych wyłącznie dla członków P. K. S. U. ,,Veritas" a stawiają sobie za cel stać się niejako ,,spotkaniem" całej katolickiej inteligencji polskiej Londynu i okolic, również i ostatni week-end nie był tylko zebraniem sprawozdawczym delegatów ,,Veritasu" na kongres, ale na tle refleksyj kongresowych miał uświadomić polskiemu inteligentowi katolickiemu jego rolę i zadania w świecie współpracy katolików.

Pierwszy referat wygłoszony przez p. Jana Szułdrzyńskiego był poświęcony zagadnieniu ,,*Pracy katolików w płaszczyźnie międzynarodowej*". Mimo, że kongres amsterdamski miał ogromny rozgłos w prasie światowej i to nie tylko katolickiej, mimo, że jak świadczą o tym słowa Ojca Św. w czasie audiencji w Bazylice Św. Piotra do uczestników kongresu ,,Pax Romana", przybyłych w pielgrzymce do Rzymu, że trudno było w całym programie Akcji Katolickiej znaleźć coś, co by dorównywało znaczeniu pracy tej organizacji, społeczeństwo katolickie jest stosunkowo mało zaznajomione z działalnością ,,Pax Romana".

Jeśli zadaniem ogólnej Akcji Katolickiej jest tworzenie w katolikach postawy religijnej wobec całości zagadnień świata i życia, to ,,Pax Romana" ma kształtować postawę religijną ludzi nauki i wiedzy, ludzi zawodów wymagających wykształcenia i przygotowania uniwersyteckiego, decydujących o kulturze umysłowej społeczeństw, aby na tej drodze zdobyć dla wiary katolickiej ośrodki pracy intelektualnej i przez to osiągnąć główny cel — skoordynowanie pracy naukowej i intelektualnej z prawdą dogmatyczną, z katolicką nauką teologiczną, przede wszystkim na uniwersytetach w pracy zarówno profesarów jak i studentów, a dalej — szerokich kół inteligencji, czerpiących z uniwersytetów wiedzę dla wykonywania swych zawodów.

Te główne zadania ,,Pax Romana" określił Ojciec Św. Pius XII w liście do kongresu jako udział katolików w rozwoju myśli ludzkiej i służbę Kościołowi.

Przed omówieniem strony religijno-intelektualnej kongresu p. Szułdrzyński pokrótce przedstawił strukturę organizacyjną ,,Pax Romana".Jest to niejako federacja organizacyj katolików z wyższym wykształceniem i studentów katolików z 50 krajów, zrzeszonych w 42 organizacjach intelektualistów katolickich i 75 organizacjach studenckich. Nikt nie może należeć do ,,Pax Romana" wprost, a tylko przez udział w zrzeszonych w niej organizacjach. Polska należała do ,,Pax Romana" od początku jej istnienia, ale obecnie — podobnie jak i inne kraje zza żelaznej kurtyny — bierze w niej udział tylko przez organizację istniejącą i działającą na emigracji: P.K.S.U. ,,Veritas" (seniorzy i studenci). Na czele ,,Pax Romana" stoi rada, zbierająca się periodycznie, i stale urzędujący sekretariat generalny z siedzibą we Fryburgu w Szwajcarii. Z Polaków wielką rolę w pracach ,,Pax Romana" odgrywali: dr Andrzej Ruszkowski, znany szeroko w świecie katolickim z pracy we francuskich katolickich organizacjach filmowych i jako redaktor świetnego, redagowanego i wydawanego w trzech językach kwartalnika ,,International Film Review", przewodniczący polskiej delegacji na ostatni kongres w Amsterdamie, który przez ostatnie dwa i pół roku zasiadał w radzie ,,Pax Romana" jako przedstawiciel Polski i p. Mieczysław Habicht, cieszący się powszechnym uznaniem członek sekretariatu generalnego ,,Pax Romana" we Fryburgu.

Tematem kongresu amsterdamskiego był ,,*Udział katolików intelektualistów w dziele Odkupienia świata*". Samo ujęcie w ten sposób dominującego tematu prac kongresowych wskazuje na niezwykle silne podkreślenie charakteru religijnego kongresu. Powrót do podstaw religijnych w nowoczesnej pracy katolickiej jest novum w porównaniu z pracą organizacyj katolickich w XIX i XX w., która była tak mało skuteczna właśnie dlatego, że nauka Kościoła została zeświecczona i zabrakło w niej treści religijnej, która jest decydująca.

Jaką odpowiedź dał na to kongres? Tylko wtedy katolik intelektualista czy też pracujący w zawodzie wymagającym wyższego wykształcenia spełni swe zadanie w dziele Odkupienia świata, kiedy będzie katolikiem nie tylko w swoich praktykach religijnych, ale kiedy jego zawód czy praca naukowa będą związane z religijnym powołaniem życia, kiedy będzie się czuł katolikiem także przez fakt wykonywania swego zawodu. Życie religijne człowieka i jego działalność zawodowa to nie ,,ścieżka obok drogi" — jak mówił o tym F. J. Sheed*) w doskonałym referacie p. t. ,,*Zawód w ujęciu katolika*". — ale to jedna wspólna droga życia, integralnie złączona całość, gdzie o podstawach pracy zawodowej katolika nie decydują żadne względy osobiste czy egoistyczne, ale duch służby Bogu i gdzie ta służba Bogu pojęta jest jako wciąganie własną pracą zawodową świata w orbitę dzieła Odkupienia.

Stąd wynika postawa katolika wobec komunizmu. Znany angielski publicysta i działacz katolicki Douglas Hyde, konwertyta i sam były komunista, mówił o tym w referacie p. t. ,,*Komunizm — fałszywa doktryna Odkupienia*". Tak, najbardziej istotnie, ujętemu komunizmowi katolik może przeciwstawić tylko pełną postawę religijną, wynikającą z doktryny Odkupienia. Wszystko inne to tylko nieskuteczne półśrodki i dlatego nie można dość silnie podkreślić religijnej strony kongresu.

Przechodząc do strony intelektualnej kongresu p. Szułdrzyński omówił obszerniej dwa referaty poświęcone wpływom współczesnych kierunków myśli na umysłowość katolika: Jezuity O. Hoeneu p. t. *Katolik intelektualista wobec nowoczesnej kultury naukowej*" i prof. Roeymacker'a z Louvain p. t. ,,*Wpływ pozytywizmu na myśl współczesną*".

Filozofia pozytywistyczna uznaje za rzeczywistość tylko to, co może być naukowo zbadane, stwierdzone i dowiedzione. Liczy się tylko z faktami, rozumiejąc przez nie konkrety świata zewnętrznego. Ponieważ fakty są zmienne, w świecie rządzącym się taką filozfią wszystko jest niestałe, względne i w konsekwencji stały porządek moralny niemożliwy. Taka postawa przyjmując istnienie jednej płaszczyzny życia ludzkiego, posiadającego dwa plany wytłumaczenia, duchowy i materialny, ale przy założeniu, że życie jest jedno w ruchu materii, prowadzi z konieczności do postawy materialistycznej. Nie neguje metafizyki, nawet z nią nie walczy, ale ją po prostu negliżuje. Zagadnienia nadprzyrodzone w polityce, ekonomii,socjologii i t. p. nie wchodzą w rachubę, a ideałem staje się agnostyk, który się liczy tylko z faktami dającymi się zbadać naukowo.

Pozytywizm, dominujący dziś w świecie cywilizacji zachodniej, jest — jako postawa umysłowa — odrzucany przez katolików, gdyż oznacza on wyłączność świata zewnętrznego, faktów widzialnych, prowadzi do materializmu, a w konsekwencji toruje drogę komunizmowi; przyjmowany jest natomiast tylko jako metoda poznania faktów.

Jaka jest postawa katolika w nauce? Objawienie jest prawdą dla człowieka, który dokonywa samodzielnie twórczej pracy naukowodoktrynalnej: katolik afirmuje rozumowe poznanie bez odrzucania metafizyki Objawienia. Dlatego kierunek filozoficzny św. Tomasza z Akwinu jest tak silnie polecany przez Kościół. W postawie katolika, w której nadprzyrodzoność ma ostatnie słowo, nie ma drogi pośredniej, nie może być kompromisu w żadnej dziedzinie. Połowiczność rozstrzygnięć zawiera w sobie niebezpieczeństwo ześlizgu do materializmu, a źródłem zła w świecie jest antymetafizyczny stosunek do życia.

W czasie obrad kongresu została ogłoszona encyklika Ojca św. ,,Humani Generis", potępiająca nowe niebezpieczeństwo rozpowszechniające się wśród katolików — irenizm. Jeżeli zło pozytywizmu tkwi w dyspozycji do antymetafizycznego pojmowania życia, to irenizm można określić jako tendencję do nieroztropnego usuwania i zacierania różnic dzielących katolików od nie-katolików w myśl fałszywie pojętej chęci porozumienia się i zgody.

I jeżeli w postawie materialistycznej człowiek jest pod tak silnym naciskiem świata zewnętrznego, że zatraca całą wartość nadprzyrodzoności, to w postawie irenistycznej katolik tak upłynnia i nagina zasady wiary, że tracą one całą swą istotną treść. I w jednym i w drugim wypadku katolik przestaje być katolikiem, choć może sobie nawet z tego nie zdawać sprawy. Zatraca jasną postawę katolicką, zostają tylko pozory.

Encyklika ,,Humani Generis" była szeroko omawiana i komentowana na kongresie, co znalazło swój wyraz w I-ej rezolucji kongresowej.

Końcową syntezę kongresu, syntezę około 40 referatów i codziennych kazań biskupich w czasie Mszy św., odprawianych dla uczestników kongresu, dał prof. J. Guitton z Uniwersytetu w Dijon (Francja).

Ta synteza w skali całego świata, ten wspólny mianownik również łączący intelektualistów katolickich, to nie wspólne hasła czy nawet idee, ale — za św. Pawłem — osoba Chrystusa, Osoba wszystko harmonizująca. (Obszerne streszczenie przemówienia prof. J. Guitton, jak również pełny tekst listu Ojca Św. do kongresu i uchwały kongresu zamieściliśmy w nr. 38 (169) ŻYCIA z dnia 17 września 1950 r. Przyp. RED).

Mówiąc o ogólnej charakterystyce strony intelektualnej kongresu p. Szułdrzyński podkreślił duże ożywienie intelektualne i wielki wysiłek myślowy w poszukiwaniu odpowiedzi w dziedzinie łączenia świata ducha i materii w jedną syntezę katolickiego pojmowania całości życia z wielkim zwłaszcza naciskiem na szukanie syntezy między religią i życiem społecznym, co zostało również bardzo silnie podkreślone w liście Ojca Św. do kongresu i w przemówieniu Mons. Montini'ego, Substytuta Sekretariatu Stanu Jego Świętobliwości, w Rzymie do uczestników kongresu.

W drugiej części week-endu szereg uczestników kongresu mówiło o swych wrażeniach z Amsterdamu i Rzymu. Mimo wspólnego tytułu: ,,*Problemy i ludzie*", nie miało to charakteru jednego zbiorowego referatu, rozłożnego na głosy, ale było podzieleniem się ze słuchaczami tym, co mówiących najbardziej uderzyło. Po znakomicie ujmującym całość kongresu referacie p. J. Szułdrzyńskiego te impresje innych członków polskiej delegacji miały charakter jakby migawkowych zdjęć, dopełniających charakterystykami działaczy i środowisk obraz kongresu.

P. M. Tyszkiewiczówna mówiła o wrażeniach z bliższego zetknięcia się ze studentkami z Włoskiej Akcji Katolickiej, p. W. Dłużewski zarysował sylwetki dwóch wybitnych działaczy ,,Pax Romana", włoskiego kapłana Don Guano i Niemca, Salad'a, jednego z założycieli tej organizacji, p. E. Fudakowska i p. Andrzej Jonscher pokrótce omówili temat katolickich organizacyj studenckich krajów zza żelaznej kurtyny, a p. St. Szabłowski mówił o Schramku, studencie ze Słowacji i jego pracy wśród kolegów-uchodźców spod sowieckiej okupacji.

Jest rzeczą ciekawą, że jakkolwiek każdy z uczestników tego wielogłosu mówił według własnego swobodnego wyboru, z charakterystyk omawianych ludzi wynikało, że tym co zadecydowało o wyborze omawianych postaci, ta niejako ich wspólna differentia specifica, było ich zbliżenie do pełnej postawy katolickiej.

Ostatni referat p. t. ,,*Wnioski dla Veritasu*" miał p. Leon Czosnowski, sekretarz generalny P.K.S.U. ,,Veritas". Na wstępie prelegent obszernie omówił treść czterech rezolucyj kongresu — jedna z nich jest apelem do całego świata chrześcijańskiego, a w szczególności do katolików narodów wolnych, aby przyczynili się do pomocy duchowej i materialnej dla intelektualistów przebywających na uchodźstwie i osób wysiedlonych, które na skutek prześladowań religijnych, politycznych lub rasowych są skazane na życie zdala od swej ojczyzny — i zobowiązania jakie z nich wynikają dla katolickiego inteligenta.

Jak wynika jednak z listu Ojca Św. do kongresu ,,Pax Romana", żadne z zadań stojących przed katolickimi intelektualistami nie będzie spełnione, jeśli nie zdadzą sobie sprawy z tego, że działalność ich, żeby była pełna i owocna, musi być uwarunkowana stopniem przywiązania do Kościoła i jego Głowy. Papież żąda od katolików synowskiego serca i ufnej uległości.

Niesłuszny jest stosunek niektórych katolików, którzy sądzą, że obowiązują tylko same dogmaty wiary katolickiej. Zapominają oni, że Urząd Nauczycielski Kościoła ustanowiony jest przez samego Chrystusa. Stąd płynie ten brak zainteresowania do nauki Kościoła, a głos jego Głowy — Papieża, jest nieraz głosem wołającego na puszczy. Katolicy za mało słuchają głosu Papieża i Biskupów. Naszym obowiązkiem jest śledzenie wszelkich wypowiedzi Namiestnika Chrystusowego na ziemi i naszych Ordynariuszy i wykonywanie ich poleceń.

Przechodząc do omówienia pracy organizacyjnej polskich inteligentów katolickich p. Czosnowski podkreślił, że linia, po której idzie ta działalność, jest w zasadzie dobra jak to można było sprawdzić na kongresie w Amsterdamie. Brak jest jednak określonych i ustalonych metod działania. To ma być na najbliższą przyszłość głównym celem pracy organizacji zrzeszającej polską inteligencję katolicką, jaką jest P.K.S.U. ,,Veritas".

Jak zawsze, po referatach odbyła się bardzo żywa dyskusja, w której wzięło udział wielu uczestników week-endu.

b. s.

*) Australijczyk z pochodzenia znany londyński wydawca i pisarz katolicki, mąż p. M. Ward, znakomitej autorki zwłaszcza książek o Chestertonie i Newmanie. Oboje prowadzą dom wydawniczy ,,Sheed & Ward". (Dop. RED.)

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

NOWA INWOKACJA W LITANII LORETAŃSKIEJ

Wyszedł dekret św. Kongregacji Obrządków, włączający do mszału rzymskiego nowy tekst Mszy św. na uroczystość N.M.P. Wniebowziętej (15 sierpnia), odprawionej po raz pierwszy przez Ojca św. w dniu ogłoszenia dogmatu. Równocześnie św. Kongregacja zarządziła, że odtąd ma być dodawana do litanii loretańskiej jako ostatnia inwokacja ,,*Królowo do nieba wzięta — módl się za nami*".

„ŚWIATU POTRZEBA WIĘCEJ ŻYWNOŚCI A NIEMNIEJ LUDZI"

Jak wiemy, w ślad za pomocą Marshalla w krajach ubogich a przeludnionych idzie obrzydliwa, niemoralna propaganda, made in USA, za masowym ograniczaniem urodzin. Propaganda ta przybrała skandaliczne rozmiary w Japonii, a w Europie rozpoczęła się w tradycyjnie ,,wielodzietnym" kraju — we Włoszech. (Parę miesięcy temu czytaliśmy na ten temat wymowny artykuł w doskonałym rzymskim dwutygodniku ,,Civiltà Cattolica).

Tymczasem, jak mówi raport C. A.I.P. (Catholic Association for International Peace), przedłożony ostatnio amerykańskiemu podsekretarzowi stanu D. Achesonowi: światu potrzeba więcej żywności, a nie mniej ludzi. Jeszcze około 40% powierzchni ziemi, zdolnej do produkcji rolnej, nie znajduje się pod uprawą. Wspomniane Katolickie Stowarzyszenie dla spraw Pokoju Międzynarodowego w swym memoriale podaje realne możliwości rozwiązania problemu wyżywienia całego świata, możliwego do zrealizowania przy dzisiejszych środkach technicznych.

NOWY DOKTÓR KOŚCIOŁA

Na zamknięcie międzynarodowego kongresu zakonów Ojciec św. ogłosił Doktorem Kościoła św. Wawrzyńca Brindisi (1559 - 1609), kapucyna. Już drugi raz tą najwyższą godnością obecny Papież obdarza franciszkanina. — Poprzednio, jak wiadomo, został ogłoszony Doktorem św. Antoni z Padwy.

Św. Wawrzyniec, niezrównany kaznodzieja i lingwista (znał wszystkie główne języki europejskie i większość semickich) odegrał też wielką rolę w mobilizacji chrześcijaństwa przeciw ówczesnemu niebezpieczeństwu tureckiemu i przez to wielki był jego udział w zwycięstwie pod Lepanto 1571. W wielu krajach, które odwiedzał w misjach dyplomatycznych i pokojowych, dał początek zakonowi kapucynów.

BEATYFIKACJA DUNS SCOTA

Największy teolog i filozof szkoły franciszkańskiej Duns Scot, słynny ,,doktor Maryjny", nazwany tak w średniowieczu z powodu gorącego nabożeństwa do Matki Bożej, żarliwy i wymowny obrońca wiary w Jej niepokalane poczęcie (przeciwko szkole dominikańskiej), ma być wkrótce beatyfikowany. Jak wiadomo, przez wieki przeszkodą we wszczęciu procesu było podejrzenie, czy nie został pochowany w stanie letargu. — Grób jego znajduje się w klasztorze franciszkanów w Fuldzie.

ILOŚĆ NAWRÓCEŃ W USA

Przed 160 laty było w USA 30.000 katolików. Ludność Stanów wynosiła wtedy 4.000.000. Dzisiaj, przy cyfrze ludności około 130 milionów, katolików jest w Stanach (statystyka z r. 1949) — 27.800.000. Przyrost ludności katolickiej, wynoszący 0.6% w r. 1930 (20.200.000) wynosił w 1949 r. 16%. W tym samym czasie ilość nawróceń na katolicyzm wzrosła przeszło czterokrotnie, z 38.000 na 120.000. Rosnąca stale ilość konwersji oraz zwiększający się przyrost naturalny ludności katolickiej powodują, że głośno mówi się o ,,uczynieniu z USA kraju katolickiego". Najpoważniejsze pisma protestanckie jak np. *The Christian Century* mówią o ,,niebezpieczeństwie, jakim stał się Kościół katolicki" w Stanach.

Kronikarz

ALEKSANDRA STYPUŁKOWSKA

HERMAN I NOWE NIEMCY

Zagadnienie niemieckie coraz bardziej i coraz głośniej jest dyskutowane. Poczyna wysuwać się na jedno z ważnych miejsc wśród zagadnień międzynarodowych. Państwa zachodnie w powikłanej i groźnej sytuacjiświatowej uważają, iż rozwiązanie zagadnienia niemieckiego może wpłynąć na stabilizację sytuacji, a w każdym razie na jej czasową poprawę. Niestety, szybki bieg wypadków i wzrastające z dnia na dzień napięcie międzynarodowe wpływa na nerwowość w traktowaniu problemu niemieckiego. Nasuwa, iż załatwione ono zostanie w sposób mechaniczny. prześlizgujący się po powierzchni tej złożonej sprawy. Tkwią w niej przecież elementy moralne, społeczne i gospodarcze, które — wadliwie postawione — mogą przynieść w najbliższej przyszłości, w chwili zbliżającej się próby nieobliczalne następstwa. Artykuł A. Stypułkowskiej, drugi z kolei, w formie reportażu z podróży po Niemczech zachodnich, zdaje sprawę z nastrojów nurtujących społeczeństwo niemieckie. Sprawozdanie to zawiera sporo materiału do przemyśleń i wniosków. Napewno, nie optymistycznych.

Na najwyższym wzniesieniu Teutońskiego Lasu stoi monstrum, znane pod nazwą pomnika Hermana. Miecz niemieckiego Herosa, który tu właśnie miał wyciąć w pień legiony Warusa, wymierzony w niebo widoczny już jest z daleka. Wojna obeszła się z Hermanem łagodnie. Kiedy podjeżdżam do pomnika, dostrzegam jednak liczne ślady kul, które popruły jego pancerz. To wojska sojusznicze, już po skończonej wojnie wzięły kolosa pod obstrzał karabinów maszynowych. Ale Herman stoi jak stał. Nawet denazifikacji nie uległ. Ma 54 metry wysokości. W środku jest jednak „dęty". W niedzielę i święto przybywają tu całe pielgrzymki Niemców z pobliża i z daleka. Bardziej przedsiębiorczy wspinali się kiedyś środkiem dętego manekina aż do jego głowy. Dziś wewnętrzne schody zamknięto, bo znaleźli się desperaci, którzy popełniali samobójstwo wyskakując przez oko statuy. Stojąc u jej stóp rozmyślam: Poco przychodzą tu Niemcy? Wspominać Hermana i Warusa? A może Hitlera i Pattona? Co powodowało samobójstwa? Kim jest Niemiec dzisiejszy?

Moje pierwsze rozmowy z Niemcami cechuje wewnętrzny opór. Wiem, że należy przestawić przekładnię. Ale wciąż jeszcze błąka się we mnie echo namiętności zrodzonej w latach poniżenia i krótkim błysku triumfu. Spokój, z jakim Niemcy przyjmują wiadomość, że jestem Polką stanowi dla mnie zaskoczenie. Czy ten brak zaczepnej reakcji jest jeszcze następstwem klęski? Nie. Poczucie niższości wywołane pogromem należy już w Niemczech do historii. Trwało zresztą tak krótko! Germański instynkt nienawiści znalazł jednak, przynajmniej tu, na Zachodzie, ujście w Sowietach. Pożywkę dlań znajduje Niemiec w osobistych wspomnieniach z kampanii wschodniej. Sprawa rosyjska wywiera też niewątpliwy wpływ na zagadnienie polsko-niemieckie.

Przejeżdżamy mimo angielskiego poligonu. Szofer, który mnie wiózł do pomnika Hermana mruczy pod nosem:

— Wojna się niby skończyła, a Anglicy tu jeszcze stoją.

— Może się spodziewają nowej wojny... — wtrącam podstępnie.

— Naturalnie, że się spodziewają. Kto by się nie spodziewał? Durnie tylko wierzą w pokojowe zamiary tych „verfluchten Russen".

— No to co? Pójdzie pan do wojska?

— Pod alianckie dowództwo nie pójdę. Niech naprzód wypuszczą naszych generałów z więzienia w Werl'u. A zresztą ja już swoje odrobiłem w tamtej wojnie. Teraz niech idą inni. Pierwszy Churchill z Adenauerem — dodaje z pasją.

— To pan był na wojnie? — pytam.

— Naturalnie byłem. Każdy był — odpowiada niechętnie.

— Wyszedł pan, jak widzę, cało.

— Tak. Wyszedłem cało. Ale dwóch braci moich poległo w Rosji, a dwóch w afrykańskiej kampanii. Żona, matka i dwoje dzieci zabici bombą w Berlinie.

Gdybym usłyszała te słowa pięć lat temu, kiedy pod strażą SS-manów opuszczałam niemiecki koncentrak, pomyślałabym: ośmiu Niemców mniej. Dziś, po latach wygnania, budzi się refleks bardziej ludzki.

— Pan z Berlina?

— Z Berlina. Flüchtling.

Flüchtling? Pojęcie to łączyłam zawsze ze Śląskiem, Pomorzem, i Sudetami. Ale przecież istnieje i ta druga kategoria niemieckich uchodźców, przybyszów z sowieckiej zony, a to jest coś o wiele nam bliższego, niż wysiedleńcy z Ziem Odzyskanych.

Cichnę. Sprawy pielgrzymek do teutońskiego ołtarza u stóp zwycięskiego Hermana nie rozwiążę w jednej okolicznościowej rozmowie. Problem to zbyt złożony.

Wracamy do Oerlinghausen. Miasteczko stoi nietknięte, jak je stworzyły trud i zapobiegliwość niemiecka. Nie jest wyjątkiem. Takich miast spotyka się w Niemczech niemało. Życie Oerlinghausen płynie spokojnym nurtem. Wstępuję do kawiarni. W małym pokoiku siedzą dwie paniusie. Rozkoszują się, pijąc „Bohnenkaffee". Każda ma przed sobą talerz z pięciu kremowymi ciastkami. Obrazek niemieckiej „Gemütlichkeit". Doskonała kawa, o którą zresztą trudno w prywatnych domach, kosztuje tu jedną markę, czyli cztery razy tyle co w Londynie. Ale cana kawy w handlu wynosi 15 DM czyli 25 szylingów za funt.

— Pani skąd? — pyta pulchna bufetowa, eksponat niemieckiego dobrobytu.

Chcę odpowiedzieć złośliwie, że z kacetu. Dobroduszność jej rozbraja mnie jednak.

— Teraz z Anglii. A w ogóle z Polski.

— Z Polski? Aha, to to pani z tych Flüchtlingów. Smutny los. Zostałaby tu pani z nami. U nas lepiej niż w Anglii. Wszystko jest. Kartek nie ma. Od lat nie pamiętamy takich czasów.

Może ma i rację. Z zaproszenia jednak nie skorzystam. Oerlignhausen jest cichym i uroczym podgórskim miasteczkiem, ale o kilkanaście kilometrów stąd straszy widmo Hermana.

Autostrada, którą zmierzam do Kolonii też nie zaznała chyba wojny. Samochody płyną czterema torami po świetnej nawierzchni. Co kilkadziesiąt kilometrów stacja benzynowa z doskonale zaopatrzoną restauracją. Wielkie tablice obok stacyj zapowiadają depesze nadsyłane automobilistom. Jedziemy przez samo serce Ruhry, a przecież tylko drogowskazy z napisami: Dortmund, Essen, Düsseldorf świadczą o miastach, które autostrada wymija. Zjeżdża się ku nim i wyjeżdża z nich na stradę bocznymi drogami... Ausfahrt - Einfahrt... Ausfahrt — Einfahrt... Fabryki Ruhry tworzą tu tylko horyzont. W pobliżu strady nie ma nic. Łąki, gaje, sosnowy lasek... W dali szczotka kominów i dym. Ruhra pracuje.

Zjazd do Kolonii to nagły przeskok w kraj wojennego spustoszenia. Zniszczoną Warszawę znam tylko z pocztówek. Rzutuję ją na kolońskie zgliszcza. Oczy przykuwa katedra, której strzeliste wieże tryskają z wertepu ruin. Widziałam ją kiedyś wtłoczoną w ciasne uliczki. Dziś stoi widna pośrodku wielkiego placu. Nad głównym portykiem potężna wyrwa, inna nad lewymi drzwiami. Wewnątrz przepołowiono katedrę prowizoryczną ścianą, za którą pracują murarze. Tylko prezbiterium i nawa poprzeczna dostępne są wiernym. Szkoda, bo największy cud katedry kolońskiej, perspektywę jej nawy głównej, zamyka przegroda ściany.

Na przedmieściu, na jakimś potrzaskanym murze przysiadł niewprawną ręką skreślony „pokojowy" gołąbek Picassa. Oglądam się za siebie. Nad zgliszczami góruje katedra. Myślę: Czas zatrze pokraczny fetysz Picassa, a kamienie nieśmiertelnej świątyni wołać będą: **Pax Dei!**

Jest zmierzch. Nad ruinami pojawia się nagle nieoczekiwany błysk neonu. Cóż to jest? Cyfra? Liczba magiczna? 4711... Ah, prawda! To znak firmowy wody kolońskiej. Fabryka idzie.

Bonn. Trudno zrozumieć dlaczego właśnie to miasto awansowało na stolicę Niemiec. Ostatnia faza wojny zdawała się zapowiadać, że raczej Heidelberg będzie miastem stosownym do tej roli. Tam to przecież lotnicy amerykańscy zrzucali ulotki z dwuwierszem: „Heidelberg wollen wir schonen, in Heidelberg werden wir wohnen..." Tymczasem wybór padł na Bonn, choć cała dzielnica uniwersytecka, stare miasto i aleja pałaców zdruzgotane są prawie doszczętnie. Gdzie się tu mieści rząd, biura alianckie, parlament? Instytucje rządowe rozproszone są po nowoczesnej części miasta. Brytyjskie władze okupacyjne obrały sobie siedzibę na lotnisku Wahnerheide, oddalonym od Bonn o 30 km. Parlament — Bundeshaus wyrósł nad brzegiem Renu. Dwa wielkie bunkry tworzą doń bramę wjazdową, nie pozbawioną symbolicznego znaczenia. W jaki jednak sposób rozwiązano tu sprawę pomieszczeń dla licznego korpusu urzędników i posłów, skoro Bonn, miasto niewielkie, liczy tylko kilkadziesiąt tysięcy mieszkańców? Na trop wprowadza nas dopiero bliższe zaznajomienie się z położeniem prowizorycznej stolicy Niemiec. Wzdłuż brzegu Renu ciągnie się cały łańcuch Badów.

Pojemność hoteli uzdrowiskowych musi być znaczna, skoro, nawet w czasie sesji plenarnej Bundu, otrzymuję bez trudu pokój w miejskiej Gaststätte „Zur Traube". Hotel kosztuje dziennie około 10 sh., zaś obfity obiad (Ochsenschwanzsuppe und Schweinskotlett mit Kartoffelsalat) około 7 sh. Życie jest drogie w Niemczech. Ale sklepy w ciasnych uliczkach miasta pękają od towaru. Uderza nadmiar przedmiotów importowanych: owoce, słodycze, obuwie, zegarki. Kto to kupuje? Skąd bierze pieniądze? Zarobki nie są tu wielkie. Zwykły robotnik wyrabia 200 marek miesięcznie. Pozornie odpowiada to stawce angielskiej. W rzeczywistości nie wynosi to więcej niż 15 funtów. Skarg mimo to nie słyszę. Można żyć... Oto jest powszechne wyznanie tutejszych ludzi pracy. Ale o pracę trudno. Niemcy Zachodnie mają 1.200.000 bezrobotnych. Element to, rzecz prosta, podatny dla politycznej propagandy inspirowanej bądź przez kwaterę komunistyczną w Dortmund, bądź przez skrajnych nacjonalistów, podszeptujących, że za czasów Führera bezrobocie w Niemczech nie istniało.

Osobny ferment wnoszą natomiast Flüchtlingi. Jest ich w Niemczech kilka milionów. Przydzieleni i glebae adscripti do tej czy innej miejscowości, traktowani są z reguły przez ludność z dawna osiadłą jako intruzi. Rzecz ciekawa, autochtoni odnoszą się do nich z większą niechęcią niż do obcokrajowców Dipisów. Dipis, mieszkający w obozie, nie zabiera im przecież mieszkania. W Niemczech nie ma zamiaru pozostać. A Flüchtling, którego trzeba przyjąć na kwaterę? Ten, nie wiadomo jak długo posiedzi i czy nie zechce zakorzenić się na stałe.

W czystym i ciepłym przedziale trzeciej klasy wdaję się w rozmowę z młodym uchodźcą znad Nyssv.

Rozmowa ta potwierdza raz jeszcze, że zagadnienie rosyjskie nie pozostaje bez wpływu na stosunek Niemców do sprawy polskiej.

— Rozumie pani zapewne — mówi młody człowiek rzeczowo i beznamiętnie — nasz pogląd na sprawę wschodnich granic Niemiec.

— Pogląd wasz znam. Co pan jednak sądzi o przymusowym osiedleniu na ziemiach, które dawniej należały do państwa niemieckiego, Polaków, wyrzuconych przez bolszewików z zagarniętych ziem polskich? — pytam, unikając zasadniczej rozmowy na temat Odry-Nyssy.

— Sowiecki imperializm rozumiem i oceniam podobnie jak pani. O Rosji wiem niejedno. Dwa lata stałem pod Moskwą.

Towarzysz mój przyznaje, że był żołnierzem służby czynnej, nie usiłując zabezpieczyć się na wszelki wypadek twierdzeniem, że pełnił tylko służbę w szpitalu czy kancelarii. Takie uniki zdarzają się tu powszechnie.

— Nie potrzebuje mi pani tłumaczyć, — ciągnie dalej — że bolszewicy przesiedlili Polaków ze wschodu wbrew ich woli. Stwarza to oczywiście nowe zagadnienie. Nie widzę dlań jednak innego rozwiązania, jak w ramach federacji europejskiej, która pozwoli jednostce na swobodny wybór siedziby i umożliwi emigrację z przeludnionych terenów.

Szewc, któremu zanoszę buciki do reperacji podchodzi do zagadnienia niebezpieczeństwa bolszewickiego bardziej gospodarczo.

— Ja, ja, gnädige Frau, — powiada — diese Russen!... Nie chcemy ich tu za nic widzieć. Byłem w Rosji. Znam ich „Lebensstandart". A u nas się żyje dobrze, lepiej nawet niż w innych krajach Europy. Wdziewać znowu munduru człowiek ochoty nie ma, bo wtedy z moim kątem kaput. Nie wdziać jak będzie trzeba — warsztat też diabli wezmą. Koło bez wyjścia — wzdycha.

Podobnie jak on miota się wewnętrznie większość szarych ludzi w Niemczech.

Niemcy chcieliby rozstać się z wojną. Nie tylko z tą, co nadciąga, ale i wyrównać rumowisko po tej, co była. Najbardziej interesujące jest dążenie do sprawiedliwego rozrachunku strat wojennych. Lastenausgleich, dyskutowany dziś szeroko, wchodzi w końcowe stadium ustawodawcze. Ludzie, których majątki ocalały, mają być obciążeni daniną na rzecz poszkodowanych. Preliminowany wpływ z daniny wynieść ma 3,5 miliarda DM rocznie. Suma to olbrzymia i łakoma, nie budzi jednak wielkich nadziei wśród poszkodowanych, którzy ze zdrowym chyba sceptycyzmem oceniają dobrą wolę „bogaczy", uprzywilejowanych przez wojnę. Tak czy owak, zagadnienie Lastenausgleich'u należy do najciekawszych problematów powojennej doby. Sprawiedliwa ta i słuszna norma nie będzie niestety stanowiła precedensu dla nas, Polaków. Nie wiem, czy znalazłby się w Polsce jeden człowiek, którego można byłoby obciążyć daniną. Nasze straty są powszechne i niepowrotne.

Sprawy polskiej nie da się przymierzyć do żadnej innej na świecie.

Aleksandra Stypułkowska



KATEDRA W KOLONII (1950)

LUDZIE, KSIĄŻKI, ZDARZENIA.

„PROCES DAWIDA ROUSSET”

(LIST Z PARYŻA)

W dniu 25 listopada rozpoczął się w Paryżu proces Dawida Rousset. Zanim przejdę do omówienia jego przebiegu chciałbym w kilku słowach przypomnieć Czytelnikom parę faktów, które proces ten wywołały, oraz powiedzieć jakie jest jego znaczenie.

Zeszłego roku w listopadzie znany pisarz francuski, Dawid Rousset, należący do obozu skrajnej lewicy, autor kilku książek cieszących się we Francji dużym powodzeniem („L'univers concentrationnaire”, „Les jours de notre mort” i „Le pitre ne rit pas”), poza tym czynny członek francuskiej résistance w czasie wojny, który za zorganizowanie w łonie armii niemieckiej komórki szpiegowskiej wysłany został do obozów koncentracyjnych w Dora i Buchenwald, wystąpił na łamach „Figaro Littéraire” z apelem skierowanym do wszystkich organizacyj b. więźniów obozów koncentracyjnych, domagając się utworzenia komisji międzynarodowej, która by miała za zadanie stwierdzenie, czy w Rosji sowieckiej istnieją lub nie obozy koncentracyjne. W swym wzruszającym apelu Dawid Rousset mówił między innymi: przyjście z pomocą ludziom, którzy przebywają w obozach koncentracyjnych jest obowiązkiem i przywilejem wszystkich, a szczególnie tych, którzy wiedzą co taki pobyt oznacza. Każdy dzień milczenia na ten temat i bezczynności jest grzechem śmiertelnym.

Reakcja na apel Rousseta poszła w dwu kierunkach. Z jednej strony wszystkie organizacje b. więźniów obozów koncentracyjnych (z wyjątkiem jednej, FNDIRP, będącej pod wpływami komunistycznymi i która zresztą na skutek apelu Rousseta rozbiła się na dwie części) wezwanie Rousseta poparły entuzjastycznie. Dzisiaj też przedstawiciel świeżo utworzonej komisji międzynarodowej Ojciec Damien Reumont, Belg z zakonu kapucynów zwrócił się oficjalnie do Ambasad Rosji, Jugosławii, Grecji i Hiszpanii (komisja występuje przeciwko obozom koncentracyjnym wszędzie tam, gdzie one istnieć mogą, a nie tylko w Rosji sowieckiej), prosząc o zezwolenie wpuszczenia komisji tej na teren każdego z tych krajów celem zbadania, czy istnieją w nich obozy koncentracyjne. Gdyby prośba Ojca Damien Reumont spotkała się z odmową (co chyba wydaje się bardzo prawdopodobne) komisja zwrócić się ma do O.N.Z., by uzyskać zgodę na wszczęcie procesu w rodzaju tego, który miał miejsce w Norymberdze i w którym na zasadzie zeznań świadków przeprowadziło by się oskarżenie tych krajów, gdzie obozy koncentracyjne istnieją. Takie są, jak do tej chwili, konsekwencje jednej z reakcyj na apel Rousseta.

Druga — to wzburzenie komunistów. Redaktor tygodnika komunistycznego „Les Lettres Françaises” Pierre Daix (ma 28 lat i także przesiedział dwa lata w obozie koncentracyjnym w Mauthausen) w ostrym i gwałtownym artykule zaatakował Rousseta. W artykule tym, w którym nie brakło obraźliwych uwag pod adresem samego Rousseta w rodzaju tego, że jest on kłamcą i płatnym agentem Amerykanów i że akcja jego wchodzi w skład zorganizowanej przez czynniki „imperialistyczne” kampanii antysowieckiej, znalazł się także zarzut, iż dokumentacja, na którą powołuje się Rousset i która dotyczy właśnie obozów koncentracyjnych w Rosji jest sfałszowana i nieprawdziwa.

Rousset nad osobistymi zniewagami przeszedł do porządku dziennego. Na ogólny jednak zarzut fałszowania dokumentacji postanowił zareagować i to nie w formie jakiejś bezowocnej polemiki, lecz wytaczając proces, w którym zostałoby sądownie stwierdzone czy dokumentacja ta jest prawdziwa czy fałszywa. Tak też doszło do obecnego procesu. A waga jego i znaczenie polega na tym, że przedmiotem jego nie jest walka dwu obrażonych na siebie osób, toczących coprawda między sobą spór na tematy zasadnicze, lecz, że po raz pierwszy i wobec całego świata bezstronna instytucja sądowa odpowiedzieć ma na pytanie: czy na podstawie przedstawionych dokumentów i zeznań świadków stwierdzić można, iż w Rosji sowieckiej obozy koncentracyjne istnieją? I stwierdzenie takie wypowie ona w obecności komunistów. Orzeczenie zaś sądu w tej sprawie ma być ogłoszone w 250 oficjalnych czy pół oficjalnych pismach świata.

Dla nas Polaków proces Rousseta ma jeszcze znaczenie specjalne. Większość dokumentacji dostarczonej do tego procesu, to właśnie dokumenty polskie, najważniejsze może zeznania świadków, to zeznania polskie. Dzisiaj więc, dzięki procesowi temu wypłyną znowu przed światem wszystkie nasze krzywdy i cierpienia.

*

Równo 22 miesiące temu w tej samej sali sądowej (la 10-e chambre correctionnelle) i na tej samej ławie, na której dzisiaj uśmiecha się do znajomych okrągły i pełny Rousset, siedział Wiktor Krawczenko. Zewnętrznie wiele jest podobieństw między tymi procesami. To samo przepełnienie i tłok straszliwy, ta sama atmosfera napięcia i podniecenia, ten sam tłum wielo-językcznych dziennikarzy (na proces Rousseta zgłosiło się do boksu prasowego 80 korespondentów a nie mogąc się w niej pomieścić wielu z nich zmuszonych zostało do notowania swych uwag stojąc). Ale na procesie Krawczenki ówczesny oskarżony, redaktor tego samego pisma komunistycznego „Les Lettres Françaises”. Wurmser, bronił napastliwie i gwałtownie swego stanowiska, a dzisiaj ława oskarżonych jest pusta. I Pierra Daix i redaktor odpowiedzialny „Les Lettres Francaises” Claude Morgan są nieobecni. Zastępuje ich ten sam co w procesie Krawczenki adwokat Nordmann.

Na ławach świadków jakże ciekawe zgromadzenie osób: znany ze swych wspaniałych kazań niedzielnych w Notre Dame, Jezuita o. Riquet (2 lata obozów koncentracyjnych niemieckich), Józef Czapski, Prof. Sukiennicki, J. Margoline (3 lata obozów koncentracyjnych rosyjskich i autor doskonałej o nich książki p.t. „La condition inhumaine”), Eleonor Lipper (młoda studentka szwajcarska, 11 lat w obozach sowieckich i autorka książki p.t. „11 ans dans les bagnes soviétiques”) itd.

Proces zaczyna się od gwałtownego incydentu. Wywołuje go przemówienie adwokata Nordmanna. Nordmann żąda bowiem zmiany trybunału. W swym ostrym i pełnym gwałtownych ataków wystąpieniu adw. Nordmann żądanie to uzasadnia w sposób następujący: zdaniem jego trybunał popełnił rzecz niewłaściwą i sprzeczną z prawem gdyż zgodził się na to, by zanim rozpoczęła się rozprawa, nadano procesowi temu wyjątkowy rozgłos w prasie. Na poparcie swej tezy Nordmann cytuje szereg artykułów i wywiadów z osobami, które w procesie tym występują w roli świadków (wywiad w „Figaro” z Eleonor Lipper, w „Aurore” z J. Czapskim i.t.d.). Poza tym przeniesienie razprawy z sali 17-ej, pierwotnie wyznaczonej, do 10-ej, która jest znacznie większa, jest także dowodem chęci zwiększenia rozgłosu naokoło całej tej sprawy. Wszystko to wskazuje na to, iż sąd francuski jest stronniczy, że ma już z góry wyrobioną opinię co do ostatecznego wyniku sporu i że postępowaniem swoim bierze udział w jakichś polityczno - propagandowych manewrach antysowieckich. A tymczasem, wiadomym przecież jest, że reżym sowiecki jest najbardziej wyrozumiały i postępowy na świecie. (na sali wybuch śmiechu). Nie róbcie z trybunału francuskiego ekspozytury polityki antysowieckiej — kończy Nordmann.

Na sali konsternacja. Po chwili adwokat Rousseta, Rosenthal zabiera głos. Żądaniu Nordmanna przeciwstawia się stanowczo. Od 25 lat — mówi on — nie zdarzył się we Francji wypadek, by stawiano sąd pod zarzutem stronniczości i zajmowania z góry stanowiska w sporze, którego rozprawa się jeszcze nie zaczęła. Pan obraża sąd francuski — stwierdza Rosenthal. Po krótkiej naradzie sąd decyduje zawiesić rozprawę, rozpatrzyć żądanie adw. Nordmanna i wycofuje się. Przerwa trwa cztery godziny. Okazuje się bowiem, że pisemne oświadczenie adw. Nordmanna złożone zostało w sekretariacie trybunału zaledwie na 10 minut przed rozpoczęciem się rozprawy i że potem zaginęło gdzieś ono w sposób tajemniczy. Robi to wrażenie jakiejś planowej i z góry ułożonej gry na zwłokę ze strony komunistów. Ludzie na sali niecierpliwią się i powoli ławki pusteszeją. Gdy w końcu rozprawa rozpoczyna się na nowo, prezes sądu oświadcza, że żądanie adw. Nordmanna rozpatrzone zostanie na specjalnym posiedzeniu sądu i decyzja zakomunikowana będzie na następnej rozprawie. Wyłoniło się bowiem dosyć trudne zagadnienie z punktu widzenia proceduralnego: czy sąd zadecydować może sam o własnej niewinności, czy też sprawę tę przedłożyć musi innemu trybunałowi do rozstrzygnięcia. Najbliższa przyszłość pokaże nam, jak ten problem został rozwiązany.

Gdy sala opróżnia się, powoli podchodzi do mnie Rousset. Czy nie uważa pan — mówi on — że proces ten rozpoczął się od ich porażki? Przecież rzuca się to w oczy, że robią oni wszystko, by uniknąć spotkania i otwartej walki.

Potakuję.

Jur.

Książki z Polski

„Pieśń duchowa“

Nakładem krakowskiego Wydawnictwa OO. Karmelitów Bosych ukazała się „Pieśń duchowa” Św. Jana od Krzyża w przekładzie O. Bernarda od Matki Bożej, K. B. (rok 1949, stron 322). Ten sam tłumacz wydał przed laty cenny tomik wszystkich pieśni mistycznych św. Doktora. Obecnie ukazała się w oddzielnym tomie najobszerniejsza z tych pieśni, tzw. „Cantico Espiritual”, którą św. Jan musiał uważać za szczególnie ważną, skoro wielokrotnie uzupełniał ją i przerabiał, a wreszcie dodał do niej obszerny komentarz. Treścią tej pieśni jest miłosna rozmowa oblubienicy — duszy z Bogiem — oblubieńcem, wzorowana na biblijnej „Pieśni nad Pieśniami.” W życiu wewnętrznym i twórczości Świętego utwór ten stanowi etap, leżący pomiędzy dwoma pierwszymi dziełkami — „Noc ciemna” i „Wstępowanie na Górę Karmel”, a ostatnim i najwyższym wzlotem „Żywy płomień miłości”. Trzeba podkreślić, że obecny przekład O. Bernarda bardzo różni się od poprzedniego. Recenzując pracę O. Bernarda w „Przeglądzie Powszechnym”, ks. J. Rostworowski określa przekład samej „Pieśni duchowej” jako „znośny”, ubolewa natomiast, że św. Jan od Krzyża w ogóle napisał (na nalegania Karmelitanek z Béas) prozaiczny komentarz — bardzo słaby i psujący efekt wspaniałej poezji — i że O. Bernard źle go przełożył.

Daleko pochlebniej pisze ks. Rostworowski o innej pracy w tej dziedzinie — o dziele O. Gabriela od św. Marii Magdaleny, K. B. pt. „Św. Jan od Krzyża, kierownik duchowny”, przełożonej z włoskiego przez O. Leonarda od Męki Pańskiej, K. B. i opatrzonej wstępem O. J. Woronieckiego O. P., a wydanej jako 28-my tom krakowskiej „Biblioteki Karmelitańskiej” (rok 1950, str. 134). Przekład tej pracy jest wyborny, samo zaś dzieło gruntowne i bardzo pożyteczne. Autor jest profesorem teologii życia wewnętrznego na fakultecie teologicznym Uniwersytetu OO. Karmelitów Bosych w Rzymie. Rzecz przeznaczona jest w pierwszym rzędzie dla przewodników na drogach duchownych, może być jednak z wielkim pożytkiem studiowana również przez inteligentnych miłośników głębszego życia modlitwy.

Prehistoria

Ukazał się tom III. Roczników państwowego Uniwersytetu im. M. Curie - Skłodowskiej w Lublinie, Działu F. (Nauki filozoficzne i humanistyczne). Zeszyt ten opatrzony rokiem wydania 1950, poświęcony jest wyłącznie prehistorii i zawiera dwie rozprawy: obszerną, bo liczącą 214 stron, pracę Andrzeja Żaki o początkach rozwoju kultury łużyckiej w dorzeczu górnej Wisły i prof. Stefana Noska — opis kilku zabytków kultury wenedzkiej, odnalezionych w Lubelszczyźnie. Pierwsza praca ilustrowana jest 124-ma, druga 10-ma rycinami. W wyniku starannej analizy 64 znalezisk (osad i cmentarzysk, skarbów i luźnych przedmiotów), odkrytych na górnym Powiślu, a sięgających III i IV epoki brązu (mniej więcej 1300 — 900 lat przed Chr.) dochodzi p. Żaki do wniosku, że wbrew teorii dotychczas powszechniejszej, upatrującej początki kultury łużyckiej w Małopolsce — w najeździe czy napływie ludności tego kulturalnego typu z Moraw lub ze Śląska, można przyjąć za pewne lub co najmniej wysoce prawdopodobne, że kultura łużycka rozwinęła się na wspomnianym obszarze samorzutnie, jako owoc poprzedniej warstwy kulturalnej trzcinieckiej, a może i dawniejszych pokładów. Praca ta odznacza się wielką dokładnością i trzeźwością rozumowania.

NOWE KSIĄŻKI

RELACJA O ROSJI

Genezy wielu dzisiejszych zjawisk ustroju i życia Związku Sowieckiego szukać trzeba w historii Rosji carskiej, Rosji przedrewolucyjnej, sięgając do XVII i XVIII wieku. Historia Rosji (w pięciu tomach) prof. W. Kluczewskiego rzuca, na przykład, bardzo ciekawe światło na dzieje Rosji Sowieckiej, dozwalając doszukać się genezy wielu zjawisk dzisiejszych w zamierzchłej przeszłości państwa moskiewskiego.

Dużymi dziś autorytetami w sowietologii na Zachodzie są emigracyjni socjal-demokraci rosyjscy Dallin i Nikołajewskij. Pierwszy z nich prześwietlił znakomicie politykę zagraniczną Związku Sowieckiego i dał jego syntezę w efektownej książce „The Real Soviet Russia”, drugi wespół z Dollinem znakomicie scharakteryzował stan pracy niewolniczej w imperium sowieckim. Amerykanie, a ostatnio i Niemcy, dali szereg trwałych pozycji publicystycznych i naukowych.

Wśród półtora miliona Polaków, wywiezionych do Rosji, tylko kilku czy kilkunastu ogłosiło swoje przeżycia i wspomnienia, względnie studia polityczne. Żadna z tych, z wyjątkiem książki gen. Andersa, nie stała się przedmiotem zainteresowania międzynarodowego.

Dr Skrzypek pokusił się również o wydanie książki*) na temat swoich przeżyć w Sowietach. Napisał ją w r. 1944. Zamiarem jego było „przestawienie na kanwie wspomnień niektórych podstawowych problemów życia sowieckiego”. Usiłował dokonać „próby połączenia pamiętnika z reportażem publicystycznym”, dokonać czegoś, co „można uważać za opis rzeczywistości” i równoczesne wytłumaczenie jej. Książkę swą przeznaczał dla Anglików i szukał bezskutecznie nakładcy. Autor przytacza w przedmowie opinię jednego z wydawców, dla którego książka ta wydała się w r. 1945 zanadto antysowiecka, a „obraz Rosji... zbyt ponury”. Ten sam wydawca w r. 1948 i o tej samej książce twierdził, że jest „za mało antysowiecka i w niedostateczny sposób przedstawia okropności sowieckich obozów koncentracyjnych”. Zniechęcony autor wydał wreszcie swą pracę po polsku.

Wydaje mi się, że niepowodzenia ofert autora u wydawców angielskich należy szukać poza racjami, przytoczonymi w przedmowie. Nie jest bowiem to książka ani antysowiecka, ani za łagodna wobec rzeczywistości sowieckiej. I może lepiej się stało, że nie wyszła po angielsku. W książce przeznaczonej dla świata anglosaskiego zamieścił autor szereg uwag, które mają charakter naszych sporów wewnętrznych i w formie, z której Anglik niewiele by zrozumiał (a Polak też niewiele!) Oto np. zdanie: „pomimo żywiołowej niechęci do wszystkiego, co łączyło się z poprzednim, sanacyjnym reżimem w Polsce, przedstawiciele tego reżimu, piłsudczycy, pierwsi przystąpili do ludowej organizacji wojskowej” (str. 23). I stylistycznie i treściowo jest to nie precyzyjne i mętne twierdzenie, które niewiele mówi Anglikowi. Inna opinia p. Skrzypka, dotycząca — na tle przykładu z Boyem-Żeleńskim i prof. Bartlem — rzekomej kolaboracji Polaków z okupantem sowieckim jest conajmniej symplicystyczna, upraszczająca zagadnienie zwłaszcza na tym przykładzie. Inne i bardziej rzeczowe relacje dawno już wyjaśniły zagadnienie tej rzekomej kolaboracji tych dwu wybitnych osobistości z okupantem sowieckim.

W zbyt też ogólnikowej formie przedstawia p. Skrzypek owczy pęd Polaków do imformowania sowieckich władz okupacyjnych. Oto w lokalu N.K.W.D. we Lwowie zauważył, że „co chwilę przechodzili korytarzami starsi panowie, kobiety, nawet uczniowie szkolni, którzy tu przychodzili denuncjować swoich znajomych i kolegów” (str. 33). Nie ma co, ładny obraz społeczeństwa we Lwowie już w samych początkach okupacji, a wszystko to na tle jednego tylko, znanego p. Skrzypkowi, wypadku z majorem W.

Marginesowe opowiadania (w kilku zdaniach!) o przyczynach zamachu E. Sapiehy i gen. Januszajtisa na Piłsudskiego w r. 1919 i błahy powód tego zainicjowanego zamachu (rzekomo Piłsudski zamierzał w ten sposób pozbyć się Moraczewskiego) wywołuje u czytelnika uśmiech niedowierzania w dokładność relacji X. Sapiehy czy ścisłość opowiadania p. Skrzypka, w Angliku zaś może wywołać Bóg wie jaką reakcję na temat stylu polskiego życia politycznego. Słuszna jest opinia autora o szkodliwości prof. Kota w charakterze ambasadora polskiego w Moskwie i składzie osobowym ambasady, lecz znowuż nie na miejscu w książce przeznaczonej dla Anglosasów.

Przypuszczam, że te właśnie fragmenty książki, jak i całość relacji dość szarej w przedstawieniu, ogólnie znanej w treści nawet już w r. 1945 dla ludzi zajmujących się sowietoznastwem, zadecydowały o odrzuceniu oferty autora przez wydawcę angielskiego.

P. Skrzypek, wydając książkę po polsku i to w r. 1949 i bez uzupełnienia jej nową wiedzą o Rosji Sowieckiej, zadośćuczynił swojemu sentymentowi do własnego dzieła, lecz chyba nie mógł przypuszczać, że wzbogaci wiedzę Polaka o najważniejszych zagadnieniach państwa sowieckiego.

W relacji autora są przedstawienia nie zawsze przekonywujące. To, co pisze na przykład o komunistach niemieckich, tak rwących się do powrotu do Niemiec i aprobujących rzekomo politykę Hitlera, od którego uszli właśnie do Rosji, kłóci się wyraźnie z relacjami tych wybitnych komunistów, którzy wydani Hitlerowi, szczęśliwie uszli śmierci. Tak samo nieprzekonywująco wygląda scena posiedzenia sądu sowieckiego, gdzie sędziowie przy wódce zapominają o podsądnym, jego czynach i na chybił — trafił wymierzają kary. W istocie jest inaczej i „sprawiedliwość sowiecka” bardzo pieczołowicie zajmuje się swymi nieszczęśliwymi ofiarami.

Nie chciałbym być źle zrozumiany w mojej ocenie wspomnień p. Skrzypka z Rosji. Miał on utrudnioną sytuację bowiem los zrządził, że cały prawie swój pobyt w Rosji autor spędził w szpitalach i widział rzeczywistość rosyjską z okna szpitala. Ponadto nie zna on dobrze języka rosyjskiego, jak świadczy „wymowa ukraińska” przytoczonych w książce powiedzeń rosyjskich. Przed wojną zagadnieniem komunizmu sowieckiego i Rosji nie zajmował się.

Pomimo to w książce są bardzo dobre fragmenty. Należy do nich przedstawienie programu wybitnego działacza ukraińskiego w Polsce dr Celewicza w sprawie stosunków polsko-ukraińsko-rosyjskich, omówienie sieci obozów pracy niewolniczej i ich rozmieszczenia, wreszcie wierny ogólnie obraz rzeczywistości sowieckiej w pobieżnym i przeciętnym poznaniu.

Gdyby ołówek przyjaciela autora musnął przed drukiem książki po rękopisie, może byśmy nie czytali paru uwag, jak ta, że według relacji składanych prof. Kotowi w Kujbyszywie autor „był jednym z wybitniejszych działaczy narodowych” w Polsce (str. 166).

W. P.

*) *Stanisław Skrzypek: „Rosja, jaką widziałem”*, wspomnienia 3 lat 1939 — 1942, str. 214), Montgomeryshire Printing, Newton, Mont., 1949.

ROK II | ŻYCIE AKADEMICKIE | NR 10 (18)

Od Redakcji

Ostatnich siedemnaście numerów naszego dodatku akademickiego było redagowane przez Kol. Bogdana Derynga z „Veritasu". Obecny numer Życia Akademickiego ukazuje się z inicjatywy Zrzeszenia Studentów Polaków Zagranicą. Kolegium redakcyjne stanowią Koleżanki i Koledzy z r ó ż n y c h ośrodków akademickich. Zadaniem naszego pisma jest stworzenie w s p ó l n e j płaszczyzny, na której polska społeczność akademicka w Wielkiej Brytanii i na Kontynencie będzie mogła wyrażać swoje poglądy i wypowiedzi a jednocześnie być ogniwem wiążącym polskich studentów poza granicami Polski.

Dziękujemy Kol B. Deryngowi za wielki wkład pracy i inicjatywy w tworzeniu i redagowaniu „Zycia Akademickiego". Wyrażamy nadzieję, że trudności z którymi się borykał, oraz Jego nieprzeciętny zapał będą dla nas bodźcem w kontynuowaniu rozpoczętego przez Niego dzieła.

Pragniemy do naszej pracy wciągnąć jak największą ilość Koleżanek i Kolegów i wierzymy, że nastąpi chwila, kiedy przy pomocy Ośrodka Wydawniczego VERITAS i Zrzeszenia Studentów Polaków Zagranicą będziemy mogli stworzyć własne, oddzielne pismo.

Jednoczesnie chcemy podziękować serdecznie Panu Redaktorowi J. Kisielewskiemu za Jego przychylne stanowisko i za pomoc, jaką Ośrodek Wydawniczy VERITAS i tygodnik „Życie" nam okazują.

KRÓTKIE BIOGRAFIE

LUDWIK ANGERER

Ukończone studia techniczne na P.U.C. Jako sierżant podchorąży brał udział w kampanii wrześniowej i dn. 6 października 1939 r. na rozkaz gen. Kleeberga składa broń. W 1942 r. zagrożony aresztowaniem przez Gestapo ucieka na Węgry, gdzie pracuje do 1945 r. w placówce polskiej w Budapeszcie. W 1945 r., po wyjeździe z Węgier wstępuje do II Korpusu i z nim wyjeżdża do Anglii.

Na IV-tym Zjeździe Delegatów w Londynie, wybrany Prezesem ZSPZ.

HENRYK KIERZKOWSKI

Ukonczył studia prawnicze przed wojną na Uniwersytecie J.P.. Jako oficer rez. bierze udział w kampanii wrześniowej w grupie gen. Kleeberga i w dn. 7 października 1939 r. pod Wolą Gułowską dostaje się do niewoli niemieckiej. Po dwukrotnej próbie ucieczki z Oflagu nr XVII zostaje uwięziony w specjalnym więzieniu dla jeńców, w którym przebywa dłuższy czas będąc pod zarzutem organizowania spisku. Uwolniony przez oddziały angielskie udaje się do Francji. W Paryżu studiuje na Sorbonie od trzech lat przygotowując się do doktoratu z prawa. Obecnie po raz 4-ty został wybrany Kierownikiem Referatu Kontynentalnego w Paryżu.

Lubi piłkę nożną i gra w tenisa.

ŻYCIE MŁODZIEŻY w KRAJU

Stosunki w szkołach średnich. — Wstęp na wyższe uczelnie. — Stowarzyszenia uczniowskie — Komunizm atakuje młodzież.

STUDENT, KTORY UCIEKŁ Z POLSKI OPOWIADA

.....„Żeby dostać się do gimnazjum trzeba posiadać w Polsce jedną z następujących kwalifikacji: pochodzenie chłopskie lub robotnicze, dobre świadectwo ze szkoły podstawowej, dobrą opinię z ZMP (Związku Młodzieży Polskiej), ojca lub krewnego w partii. Obecnie są wprowadzone tzw. jedenastolatki, oparte na wzorach sowieckich dziesięciolatek. Uczeń, który uczęszczał do takiej szkoły od pierwszej klasy, nie potrzebuje spełniania powyższych warunków. Wystarczy, że jest pochodzenia chłopskiego lub robotniczego. Dzieci inteligencji są również przyjmowane do szkół średnich, lecz bardzo niechętnie. Muszą wykazać specjalne zdolności, ale pomimo nich są stawiane na drugim planie.

Wstęp na wyższą uczelnię jest o wiele trudniejszy. Oprócz kwalifikacji podanych wyżej, kandydat musi być prymusem w klasie lub jednym z pierwszych, musi także być aktywistą społecznym i posiadać funkcję w zarządzie gimnazjalnym ZMP, który jest podstawową organizacją w każdej szkole.

W każdej szkole jest wielka ilość różnych kółek. Żaden uczeń prawie nie mógłby ich wszystkich z pamięci wyliczyć. Najważniejszą organizacją jest naturalnie ZMP, mająca na celu uświadamianie polityczne młodzieży przez wygłaszanie na zebraniach różnego rodzaju referatów politycznych.

Oto kilka przykładów kół i zrzeszeń; jedne z nich mają charakter polityczny, a niektóre tylko samopomocy młodzieżowej. Wymienię kilka: „Samorząd Uczniowski" zajmuje się organizowaniem zabaw szkolnych, wycieczek, pomocy słabszym uczniom, prowadzi sklepik szkolny. „Towarzystwo Przyjaciół Polsko-Radzieckich" ma na celu pogłębianie przyjaźni do Związku Sowieckiego. W ramach tego koła odbywają się odczyty o potędze militarnej i gospodarczej Zw. Sow., o pracy traktorów i kombajnów w kołchozach, o szczerej sympatii kołchoźników do Polaków itd. Kółko to ma na celu wszczepianie młodzieży „miłości do Sowietów" oraz „pragnienie pójścia w ślady Z.S.R.R." „Koło Walki z Rasizmem" ma zniechęcić młodzież do „imperialistów amerykańskich", prześladujących biednych murzynów. „Koło Przyjaciół Żołnierza" ma pogłębić przyjaźń młodzieży z wojskiem oraz opiekować się grobami żołnierzy polskich i sowieckich. „Szkolny Klub Sportowy" jest jedną z najważniejszych organizacji. Ma za zadanie wyrobić tężyznę fizyczną w całej młodzieży. Głównym hasłem jego jest: „Przez sport idziemy do socjalizmu". „Służba Polsce„ ma na celu przygotowanie polityczne i wojskowe do służby dla państwa ludowego. Koło „PCK" - to koło najmniej polityczne, dopomaga ono biednym uczniom. „Koło Odbudowy Warszawy" zbiera składki miesięczne od członków. Do tych dwóch ostatnich kółek młodzież najchętniej należy, bo po zapłaceniu 20 zł. miesięcznie ma spokój.

Wyrobienie społeczne i poziom kulturalny szkoła wykazuje na akademiach. Wysłuchać tam należy kilka referatów wygłaszanych przez osoby partyjne oraz nawiązując do ich treści, wystawić część artystyczną odpowiadającą wymaganiom danego święta. Stwierdzić trzeba z bólem serca, że już w dzieci od klas najniższych wpaja się ważność „święta" wraz z nauką wierszy o Leninie i Stalinie. Młodzież tak wychowana od lat najmłodszych staje się powolnym narzędziem w ręku państwa. Jeśli reżim kładzie cały nacisk na młodzież, trudno wymagać, by ta młodzież powoli się do niego nie przyzwyczajała. Za parę lat młodzież sama pójdzie z komunistami na „faszystowską" zagranicę, będąc przekonana, że czyni dobrze dla Polski. Rusyfikacja zostawia najmniejsze ślady w starszej młodzieży, która pamięta jeszcze czasy przedwojenne i może je porównać z życiem obecnym.

Komuniści realizują swój plan bardzo szybko i wykazują przy tym bardzo dużo sprytu. W nauce o Polsce i świecie współczesnym kładzie się nacisk na niedolę chłopa i robotnika w czasach feudalizmu, kapitalizmu i imperializmu..."

(Autor opuścił Polskę we wrześniu 1950 r.)

NA MARGINESIE

WALNEGO ZJAZDU DELEGATÓW ZRZESZENIA STUDENTÓW POLSKICH ZAGRANICĄ

Mam wrażenie, że wszyscy uczestnicy ostatniego Zjazdu Delegatów ZSPZ zgodzą się ze mną w tym, że był on swego rodzaju przeżyciem.

Normalnie słowo „zjazd" jakoś dziwnie kojarzy się ze skłonnością do ziewania. Z góry wiadomo, co będzie. Uroczyste krasomówstwo, naciągany patos, przewlekłe dyskusje, wzajemne wymiany złośliwości... Długa to i jakże znana litania!

A jednak przecież...

Pomimo szarzyzny emigranckiego żywota, pomimo ogólnego zgorzknienia, cynizmu, obojętności — na sali obrad Zjazdu panowała atmosfera czystego i nieskażonego idealizmu. Nie był to idealizm z rzędu owych młodzieńczych i naiwnych. Nie było w nim ani taniego patosu, ani bezradnego wznoszenia oczu, ani też chorobliwej tkliwości. Królował konkret.

Z całej W. Brytanii i Irlandii, ze wszystkich krajów Kontynentu zjechali się delegaci, reprezentujący swoich głodnych, półgłodnych no i wreszcie tych sytych Kolegów. Przyjechali po to, by dać świadectwo swojej biedzie i ogromowi swojego wysiłku na tle emigracyjnego bezczynu. W tym samym rzędzie siadał 20-to funtowy burżuj z łaski „Education Committee" obok robociarza, douczającego się wieczorami na Bolton Gardens. Kolega z Hiszpanii mógł porównać jakość swego wyszarzałego garnituru z francuską tandetą. Ten ze Szwecji mógł się dokumentnie poinformować o stawkach za mycie talerzy w brukselskich garkuchniach. Zbieranina, jak na nasze niecodzienne warunki, przedziwna.

A jednak przy tych wszystkich zewnętrznych różnicach wyczuwaliśmy, że to, co nas łączy, jest silniejsze nad bariery graniczne, mocniejsze od poniewierki, trwalsze niż zmienne koleje losu.

Naród — wielka to rzecz. Pojęcie tylekroć ośmieszane, tylekroć wyzyskiwane dla szowinistycznych celów...

Jednakże przecież — w tym ciepłym uczuciu, które się żywi wobec swego, w tym wzajemnym zrozumieniu własnych problemów tkwi coś znacznie więcej, niż to, na co pozwala sztywna socjologiczna formułka, beznamiętnie wtłaczająca naród na jeden z kilku szczebli w hierarchii międzyludzkich powiązań.

Pióro typu „utility" nie jest w stanie oddać rzeczy wielkich. Piszący, nie mając w tym względzie jakichkolwiek złudzeń — sili się na to trudne zadanie jedynie poto, by nie pominąć milczeniem spraw najistotniejszych.

A teraz do rzeczy:

Zjazd Oddziału Wielka Brytania, który odbył się w przeddzień Zjazdu Walnego, był obesłany licznie. Słynna z partyjnych harców sala przy Cornwall Gardens była wybita po brzegi. Powagi zgromadzenia nie umniejszały nawet grubo ciosane deski, wstydliwie się kryjące pod czerwienią dostojnego sukna. Z uwagi na konieczność niezakłócania snu spokojnych tubylców okolicznego Kensingtonu potok rodzimej wymowy musiał zejść na „pianissimo", jak też (i to się nazywa polski zjazd!) musiano się powstrzymać od bicia braw.

Porządek dzienny był obfity. Spraw odwalono masę. Akcja Funduszu Pomocy była zagadnieniem dominującym. Sprawy kontaktów z terenem brytyjskim stały na drugim miejscu. Kwestie sporne załatwiano już wybitnie w duchu zachodnim — bez uciekania się do napaści i inwektyw. Wybrano nowe władze Oddziału i delegatów na Zjazd Walny.

Bilans ogólny można niewątpliwie określić jako dodatni. Dodatni — to znaczy: będziemy nadal pomagać Kolegom na Kontynencie, będziemy się ruszać w terenie brytyjskim, będziemy prowadzić życie czynne. Proste to, a jednak tak bardzo przemawiające do przekonania na tle emigracyjnej beznadziejności.

Następnego dnia, w sobotę 15-go X odbyło się oficjalne otwarcie Zjazdu, poprzedzone Mszą Akademicką (Na marginesie należałoby wyrazić żal z powodu niepozwolenia Chórowi Akademickiemu na śpiewanie w czasie Mszy z jakichś tam ultraprozaicznych powodów).

Następuje uroczyste otwarcie w sali Ogniska. Przemówień było wiele, zarówno tych ze strony studentów, jak też i zaproszonych gości ze społeczeństwa starszego, reprezentujących owe nieliczne zainteresowane nami emigracyjne instytucje i o dziwo — przemówienia nie były nudne.

Podkreślić tu wypada dużą życzliwość owych gości i organizacji przez nich reprezentowanych. Na przykład „Help to Poles Fund" udzielił Zrzeszeniu cicho i bez rozgłosu kilkusetfuntowej subwencji w ciągu ubiegłego roku. Zbiórka, zorganizowana samorzutnie przez pożyteczny PKSU „Veritas" w marcu br., przyniosła w wyniku ponad dwieście funtów. Miejmy nadzieję, że rok przyszły przyniesie intensyfikację tego rodzaju „dobrej roboty".

Po południu tegoż samego dnia odbyło się otwarcie właściwych obrad Walnego Zjazdu. W intencjach piszącego nie leży męczenie Czytelnika tym, co można łatwo odszukać w protokóle. Podkreślę więc tylko fragmenty bardziej się rzucające w oczy.

Otóż w ciągu ostatniego roku akademickiego Zrzeszenie Studentów Polaków Zagranicą własnymi siłami udzieiiło potrzebującym Kolegom na Kontynencie łącznej pomocy na sumę funtów 1.900. Niemcy, Francja i Włochy zajmowały miejsce prawie równorzędne w hierarchii potrzeb.

W nowym roku na plan pierwszy wysuwają się nasi Koledzy we Francji ze swoimi 250-oma studentami, co stanowi około 50% ogólnego stanu ilościowego studentów polskich na Kontynencie. Nasza główna bolączka w przyszłości, Oddział Niemcy, są już pod tym względem w tyle. Jeszcze rok temu było w Niemczech 900 polskich studentów. Dziś jest ich pół setki Reszta wyemigrowała za ocean. Czy uda im się kontynuować przerwane studia, czy też zostaną oni wtłoczeni w tryby amerykańskiej maszyny produkcyjnej? Raczej to drugie, niestety.

Co będzie z tymi we Francji? Jak przeżyją oni okres studiów, studiów typu francuskiego — a więc bezlitosnych w swych wymaganiach ogromu pracy? Jak pogodzić sprzątanie paryskich hal targowych z uczęszczaniem na wykłady?

Jak sobie poradzą ci we Włoszech, z dnia na dzień czekający na owo zapowiedziane „odmrożenie" funduszów? Słodka Italia poczyna sobie dość bezceremonialnie z cudzoziemcami bez grosza przy duszy.

Gdzie Szwecja? W jaki sposób mały ośrodek w Austrii wytrwa na swoim głodowym wikcie, gdy kusi widok tych sytych „wygodnickich", którzy przyjęli bierutowskie stypendia?

Odpowiedź na te wszystkie pytania jest prosta, za prosta niestety. Gdyby bowiem jakiś nowy Rotszyld wyłuskał z kabzy 51 tysięcy funtów, to wówczas 500 naszych na Kontynencie mogłoby przestudiować rok 1950/51 we względnym spokoju.

Jest nas w Anglii 160 tysięcy. Pomyśleć tylko: 7 szylingów podatku na każdą Polkę i na każdego Polaka we W. Brytanii i już cały problem zostaje automatycznie rozwiązany.

Oto pole do działania. Wmawiają w nas, że na emigracji nie mamy niczego do zrobienia. Mówią nam, że skazani jesteśmy z musu na bezczyn, wyjałowienie i powolną sklerozę. Tej prawdy jednakże żaden cynizm i żadna atmosfera zakładu pogrzebowego nie zabije. 500 Kolegów czeka na naszą pomoc — pięciuset przyszłych inteligentów, którzy będą plewić pobierutowskie chwasty. Czyż trzeba celu bardziej przemawiającego do przekonania?

Potrzeba nam 51 tysięcy funtów. Zrzeszenie w najlepszym wypadku zbierze dwa i pół tysiąca. Jak wypełnić nasz studencki „sterling gap"?

Piszę o tym wszystkim, ponieważ przez cały czas Zjazdu nie można się było oprzeć pytaniom tego rodzaju.

*

Poza sprawą Funduszu Pomocy poświęcono również wiele uwagi sprawie naszej niepodległościowej postawy na terenie krajów naszego pobytu. I znowu rzecz ciekawa... Okazuje się, że student polski kroczy w pierwszym szeregu tych, którzy się nie załamali pomimo trudnych warunków materialnych. W Sztokholmie, Rzymie, Brukseli, Paryżu, Grazu, Madrycie, Londynie tłumaczy się „tubylcom" niezawsze zrozumiałą różnicę pomiędzy nami, a tymi, którzy przywła-

szczyli sobie prawo reprezentowania uciemiężonego Narodu.

Jeszcze inną, w pewnym sensie budującą, cechą atmosfery Zjazdu był sposób załatwienia owych nieuniknionych tzw. „spraw politycznych”. Wachlarz reprezentowanych poglądów był szeroki. Nikt się ze swą „partyjną przynależnością” nie krył. Sprawę traktowano prosto i bez kompleksów.

Na marginesie Zjazdu nasuwają się jeszcze tego rodzaju pytania: *Co jesteśmy warci w porównaniu z:*
— typem akademika przedwojennego?
— obecnym pokoleniem starszym?

Odpowiedź na oba pytania jest złożona. W pierwszym wypadku niewątpliwie ustępujemy przedwojennym Kolegom pod względem kultury humanistycznej, jak też i pod względem rzeczy tak fundamentalnej jak poprawna polszczyzna. Jesteśmy poza tym bardziej podatni na gorzki cynizm.

Z drugiej jednak strony widać dość poważne dodatnie wpływy naszego pobytu na Zachodzie. Posiadamy większą skłonność do realiów. Brzydzimy się tanim patosem i demagogią. Potrafimy rozwiązywać problemy sporne w duchu zdrowego kompromisu.

Jeśli chodzi o drugie pytanie, to znowu odpowiedź nie jest taka prosta. Pomiędzy nami a pokoleniem, które przeżywało swą wiosnę życia w latach dwudziestych naszego stulecia, leży rów, rów szeroki, lecz — zdaniem piszącego — możliwy do przebycia.

Tamci kształtowali swoje charaktery w czasach walki, zwycięstwa i nadziei. Nasze lata — to lata walki, klęski i zwątpienia w wartości dotychczas stawiane na piedestale.

Tamci — normalną rzeczy koleją — zastygali w swym rozwoju po osiągnięciu wieku średniego. Nawet przeżycia ostatniej wojny nie zdołały już zachwiać ich struktury psychicznej. Co więcej, przeszłość straciła dla nich swe kontury przykre. Pozostały sentymentalne wspomnienia.

My formujemy nasze „ja” w czasach olbrzymiego zakrętu historii. Oskarżamy ich o naiwność, napuszoność, prymitywizm myślenia, małostkowość — nie dostrzegając, że ci ludzie (często o skromnym intelekcie) tworzyli jednakże rzeczy wielkie — wolne państwo.

My zaś, owszem jesteśmy wolni od wielu z tych wad. Brak nam jednakże (przy całym naszym uzachodnionym realiźmie) jasnej koncepcji światopoglądowej. Pielęgnujemy wśród siebie także często zgorzkniały i nieczłowieczy materializm. Nie ma wśród nas tej atmosfery, która wytwarza ciepłe i ludzkie uczucia i zainteresowanie żywymi prawdami życia. Zaskorupiamy się we własnym zgorzkniałym „ja”, z którego budzą nas tylko silne wstrząsy. Zjazd był na szczęście tego rodzaju pożytecznym wstrząsem.

Korzystając z faktu, że „Życie Akademickie” jest czytane nie tylko przez studentów, pragnąłbym podkreślić, że muszą być znalezione sposoby wspólnego współżycia, zrozumienia i przejmowania normalnych funkcji społecznych pomiędzy nami a pokoleniem starszym. Inicjatywa musi wyjść z obu stron równocześnie.

W przeciwnym wypadku większość owych kilku tysięcy polskich dyplomantów zachodnich uniwersytetów straci kontakt ze sprawami swego Narodu i rozpłynie się bez śladu w obcym morzu.

Tertium non datur.

Franciszek Berka

CZYTAJ ŻYCIE AKADEMICKIE! WSPÓŁPRACUJ ZE SWOIM PISMEM! POLECAJ JE KOLEŻANKOM I KOLEGOM!

KRONIKA AKADEMICKA

Skład nowego zarządu

V-ty Zjazd Delegatów Zrzeszenia, który odbył się w dniach 14 i 16 października br. wybrał następujące władze Zrzeszenia:

ZARZĄD GŁÓWNY (LONDYN)
Prezes — Ludwik Angerer
II Vice-prezes — Witold Tułasiewicz
Sekretarz — Jerzy Cydzik
Skarbnik — Otton Hulacki
Członkowie — Bohdan Niemczyk
" — Jerzy Bieńkowski

ZARZĄD GŁÓWNY (REFERAT KONTYNENTALNY — PARYŻ)
I Vice-prezes — Henryk Kierzkowski
Członkowie — Henryk Grądkowski
" — Stanisław Kubicz
" — Elżbieta Kuczyńska
" — Stanisław Nowak

KOMISJA REWIZYJNA
Przewodniczący — Janusz Słabószewicz
Członkowie — Bohdan Doliński
" — Edmund Przetakiewicz
Zastępcy — Roman Januszewski
" — Michał Kwiatkowski

POWIERNICY Z.S.P.Z.
— Andrzej Jakubowski
— Jerzy Nyke
— Władysław Zawadziński

Nowy zarząd Bratniej Pomocy S.N.P.S.

Na walnym Zebraniu Bratniej Pomocy Szkoły Nauk Politycznych i Społecznych, które odbyło się w. dn. 23.10. br., wybrano nowy Zarząd Bratniej pomocy w następującym składzie: Prezes: Kol. A Menhard, 1 Vice-prezes: Kol. B. Łokaj., 2 Vice-prezes: Kol. B. Wojewódka., Sekretarz: Kol. Z. Adamiak. Skarbnik: Kol. W. Gut. Członkowie: Kol. T. Suryn., Kol. T. Kruszewski.

Koło ekonomistów P.U.C.

Nowy Zarząd Koła Ekonomistów B.P.P.U.C. ukonstytuował się jak następuje: Prezes: Kol. A. Gliniecki., 1 Vice-prezes: Kol. W. Twardowski., 2 Vice-prezes: Kol. Teresa Robak., Sekretarz: Kol Z. Orzechowski., Skarbnik: Kol. J. A. Janowski.

Klub Akademicki

W niedzielę 5-go listopada w lokalu Klubu Akademickiego (Dom „Ogniska”) odbyła się herbatka towarzyska. 70 osób spędziło niedzielny wieczór w beztroskiej atmosferze. Atrakcjami wieczoru były: wyjątkowo duża ilość Koleżanek, wspaniałe ciasta i ciastka (z herbatą) i nieustający śmiech. Pełne uznania dla „nowonarodzonego” Komitetu Klubowego. Mamy nadzieję, że impreza ta zapoczątkuje prawdziwy „renesans” Klubu Akademickiego.

P. S. Najlepszy „numer” wieczoru — taniec brzucha Kol. Rubinsteina; najlepszy apetyt na sali — Kol. Prezes Angerer; zjedzonych 16 ciastek.

Z angielskich uczelni

Dzięki zorganizowanej akcji i solidarnemu stanowisku polskich studentów, dwa college londyńskie — South West Essex Technical College i Northern Politechnic — przyjęły dużą większością głosów wniosek domagający się wystąpienia National Union of Students z opanowanego przez komunistów International Union of Students. W S.W.E.T.C. akcją tą zajął się Kol. Adam Wnęk, którego doskonale przygotowane przemówienie przysporzyło wnioskowi wiele głosów. Wynik głosowania: 180 „za” (w tym 60 głosów polskich), 40 „przeciw”.

W Northern Politechnic prezes Koła Londyn Kol. Gawalewicz doprowadził do powtórnego zwołania zebrania lokalnego Students Union, na którym zwerbowani przez niego studenci angielscy przegłosowali wniosek olbrzymią większością głosów.

W obydwu wypadkach, akcja ta podjęta była samorzutnie. Pozwolę sobie zasugerować, ażeby, po wstępnym okresie przyzwyczajenia się do swoich funkcji, odpowiednie czynniki w Zarządzie Głównym zajęły się organizowaniem podobnych akcji.

Polish Society L.S.E.

(London School of Economics)

Wybrano nowy Zarząd; prezesem został kol. Szabłowski. Projektuje się wspólne zorganizowanie z angielskimi stowarzyszeniami odczytów pisarzy i działaczy polskich.

Z działalności organizacji akademickich

W miesiący październiku ukazały się następujące pisma organizacji akademickich: „POGLĄDY” organ Związku Niezależnej Akademickiej Młodzieży Socjalistycznej (3, Collingham Place, S. W. 5), i „ZJEDNOCZENIE” organ Chrześcijańsko-Społecznych Organizacji Młodzieżowych (74, Cornwall Gdns., S.W. 7.).

Ponadto w miesiącu październiku odbyły się dwa zebrania dyskusyjne. Jedno zorganizowane staraniem Związku Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej. Po odczycie p. J. Serafina pt. „Świat dąży ku socjalizmowi” odbyła się dyskusja. Drugie zorganizowane przez Związek Młodzieży Chrześcijańsko - Demokratycznej z referatem Kol. K. Studnickiego pt. „Kolektywizm a indywidualizm”.

Zjazd N.U.S. w Liverpool'u

W dniach 10, 11, 12, listopada br. w Liverpool odbył się Walny Zjazd National Union of Students. Głównym tematem obrad była sprawa afiliacji N.U.S. do International Union of Students. Na zjeździe obecna była delegacja Bratniej Pomocy P.U.C. Dokładne sprawozdanie z przebiegu obrad zjazdu ukaże się w następnym numerze Życia Akademickiego.

Sprawa afiliacji do N.U.S.

Na ostatnim Zjeździe ZSPZ został uchwalony wniosek o nawiązaniu ścisłego kontaktu ze studentami angielskimi i ewentualne afiliowanie Zrzeszenia do N.U.S. Obecnie sprawa ta napotkała na trudności wobec wycofania wniosku egzekutywy N.U.S. o dopuszczenie organizacji narodowościowych, politycznych i religijnych do udziału w pracach tej organizacji.

Jak dowiadujemy się nieoficjalnie, zmiana stanowiska NUSu nastąpiła na skutek interwencji organizacji antykomunistycznych, które bały się wprowadzenia komunistów występujących pod firmami organizacji narodowościowych i pseudo-socjalistycznych, jak np. Students Labour Federation, czy Rationalist Society.

(K. S.)

P.K.S.U. „Veritas”

W związku z rozpoczęciem się nowego roku akademickiego, odbyło się Walne Zebranie Oddziału Studenckiego, na którym ukonstytuowano nowy Zarząd. Prezesem został Kol. J. Słubicki. Z Zarządu Oddziału ustąpili Koledzy: Andrzej Jonscher i Andrzej Stankiewicz. W związku z tym w zaułkach veritasowych szepce się, że „epoka” duetu Andrzei dobiegła szczęśliwego końca. Obaj Koledzy Andrzeje uszczęśliwią swoimi osobami Zarząd Centralny Veritasu. Nowy prezes Kol. Słubicki zabrał się z pełną energią i ochotą do pracy tak jak przystało na pilnego studenta mechaniki. W następnym numerze zamieścimy artykuł o pracach i rozwoju tej organizacji.

S. N.

LISTY DO REDAKCJI

BRATERSKA POMOC

Do Kolegi Redaktora,

Chciałbym za pośrednictwem „Życia Akademickiego” wyrazić serdeczne Bóg zapłać studentom polskim w Paryżu za okazaną mojemu Koledze i mnie serdeczność i gościnność.

Jechaliśmy w lecie br. do Rzymu rowerami, przez Paryż. Mając adres tamtejszego Koła ZSPZ, postanowiliśmy założyć Kolegom naszym paryskim wizytę. Rezultat był nieoczekiwany, zostaliśmy przyjęci z nadzwyczajną serdecznością... Oprowadzili nas po mieście, gościli i żywili(kartki do stołówki akademickiej, które dostaliśmy jak się okazało później, były ich własne). Na dalszą drogę otrzymaliśmy od nich zapas żywności i pożyteczne rady.

Podobnie było gdy po szczęśliwie odbytej pielgrzymce wracaliśmy z powrotem, goniąc resztkami sił i pieniędzy do Paryża. Tym razem mieszkaliśmy już w lokalu Stowarzyszenia. Oprócz nas było jeszcze kilku innych Kolegów z Irlandii i Anglii. Koledzy z Paryża robili wszystko, ażeby nam pobyt uprzyjemnić. Opuściłem Paryż z uczuciem wielkiej wdzięczności za najmilszą gościnę, jakiej doznałem od wielu lat. Muszę się przyznać, że doznałem pewnego uczucia wstydu, porównując ich warunki życia z naszymi, bo my otrzymujemy stypendia. Niech mi więc wolno w ten sposób podziękować Kolegom z Paryża za Ich wielką gościnę.

S. Nałęcz-Korzeniowski
(Irlandia)

Szanowny Kolego Prezesie!

Otrzymałem w tych dniach przesłaną mi przez Zarząd Główny ZSPZ streptomycynę.

Ta pomocna dłoń, wyciągnięta do mnie, w tym tak krytycznym dla mnie momencie, jeszcze raz uwydatnia wartość solidarności koleżeńskiej.

Właśnie takie drobne na pozór fakty, wybiegające poza ramy codziennych powinności i obowiązków, są najlepszym przykładem spoistości naszej organizacji, w której dominuje nie biurokratyczne „spełnianie obowiązków”, lecz świadoma, pełna odpowiedzialności współpraca koleżeńska.

Nie mogąc uczynić tego osobiście,, pragnę tą drogą złożyć na ręce Szanownego Kolegi Prezesa podziękowanie dla Zarządu Głównego za tak cenną pomoc.

Z koleżeńskim pozdrowieniem,

Tadeusz Gotlib
(Sondalo — Szwecja)

KRYZYS W ŁONIE KOMSOMOŁU?

Z artykułu w „Libre Belgique” (Nr. 501, 28.10.50) pt. „Młodzież sowiecka stawia opór bolszewizmowi”

Sytuacja obecna w łonie Komsomołu nie przestaje mocno niepokoić przywódców sowieckich. Jest rzeczą ogólnie wiadomą i podkreślaną specjalnie zarówno przez Lenina, jak i przez Stalina, że z Komsomołu rekrutują się kadry przyszłych członków partii komunistycznej ZSRR. Jest on narzędziem oddziaływania na masy młodzieżowe w chwili obecnej i rdzeniem klasy rządzącej w przyszłości. Fakt ten jest dostatecznym dowodem jego znaczenia w oczoch Politbiura.

Według danych oficjalnych, Komsomoł liczył przed samą wojną 7 milionów, a na początku ubiegłego roku dziewięć milionów trzysta tysięcy członków (cyfra podana na XI Kongresie Komsomołu w marcu 1949). Obecnie, miałby on jedenaście i pół miliona członków (wg. statystyk podanych na IV Walnym Zjeździe Centralnego Komitetu Komsomołu w ZSRR, wrzesień 1950). Jak się jednak okaże poniżej, cyfra ta jest cyfrą figurującą w oficjalnych spisach organizacji, które od pewnego czasu przestały odpowiadać stanowi rzeczywistemu szeregów Komsomołu.

W ciągu ub. r., a szczególnie od czasu kongresów lokalnych partii komunistycznych, Politbiuro skonstatowało nie bez niepokoju, wzrastającą niechęć członków Komsomołu do organizacji, a jednocześnie wyraźnie sceptyczne stanowisko ogółu młodzieży sowieckiej wobec partii i jej odgałęzień. W grudniu 1949, Walny Zjazd Centralnego Komitetu Komsomołu zbadał to zagadnienie ze specjalną uwagą, i doszedł do wniosku, że na wielu odcinkach będących niegdyś „w pierwszej linii walki”, ukazują się wyraźne objawy dążności rozłamowych. Członkowie Związku Młodzieży Komunistycznej, ostrzega raport Komitetu Centralnego Komsomołu, nie płacą regularnie składek, przestją uważać za swój obowiązek branie udziału we wszystkich zebraniach swoich komórek i wycofują się bez uprzedzenia. Wreszcie, znaczna część komsomołców z własnej woli opuszcza „de facto” szeregi organizacji bez podania żadnych powodów, podczas gdy ich nazwiska figurują nadal w spisach. Organizacje lokalne, dodaje raport, nie reagują zupełnie na ten stan rzeczy.

MŁODZIEŻ KOMUNISTYCZNA I WYCHOWANIE POLITYCZNE

Jest rzeczą znamienną, że w miejsce złorzeczeń i pogróżek pod adresem opornych, przywódcy sowieccy woleli polecić szefom Komsomołu, by starali się oni wyrobić większe zrozumienie i posłuch wśród młodzieży, aby tym sposobem „znaleźć drogę prowadzącą do serca” młodzieży sowieckiej. „Komsomolskaja Prawda” poświęciła w swoim czasie dużo miejsca wysoce pouczającemu opisowi sprawy Szury Malenkowej, która wystąpiła z Komsomołu z powodu braku zainteresowania okazywanego jej przez przywódców swojej komórki i z powodu atmosfery zimnej obojętności, którą tam znalazła. Prasa sowiecka zebrała odtąd dziesiątki i setki podobnych wypadków.

Sytuacja ta, sama w sobie, nie ma nic wyjątkowego. Nie jest bezpodstawnym twierdzenie, że w ciągu ostatniego ćwierćwiecza tysiące młodych komsomołców uczuwała w pewnym momencie głęboką odrazę do sprawy Lenina i Stalina i do organizacji, do której zostali wcieleni.

Nowością jest jednak przede wszystkim jawne lekceważenie dyrektyw partii (rzecz nie do pomyślenia przed kilku laty): kontrola policyjna napotyka wśród młodych jedynie na znużenie i obojętność, a obawa przed represjami zanika coraz bardziej. Następnie, należy zauważyć reakcję kół rządzących, które nareszcie zaczynają sobie zdawać sprawę, że sam terror nie wystarcza i że trzeba dołożyć starań, aby zaskarbić sobie poparcie młodego pokolenia. Gdy siła zawodzi, próbuje się łagodności, bez poważniejszych jednak rezultatów. Chcąc położyć kres katastrofalnej niechęci młodzieży sowieckiej do komsomołu, przywódcy ruchu zmuszeni byli uciec się do takich środków wyjątkowych jak: skasowanie wstępnych egzaminów „politycznych”, kiedyś niezbędnych, zniesienie surowych badań dotyczących kandydata na komsomołca i wreszcie, zakaz wykluczania członków Związku Młodzieży Sowieckiej za brak aktywności. Środki te, mające na celu zwiększenie szeregów organizacji, zdradzają mimo wszystko pewne rozluźnienie dyscypliny wewnętrznej.

KRYZYS BIERNOŚCI

Analizując sytuację obecną, dziennikarz emigracyjny N. Oradobajew, specjalista od zagadnień polityki wewnętrznej państwa i partii bolszewickich, nazywa ten kryzys „kryzysem bierności”. („Posiew” z 1 października 1950). Oznaki tej bierności, podkreśla on, mają bardzo często charakter aktywny, szczególnie wśród dziewcząt, które nie boją się zerwać otwarcie z Komsomołem i jawnie odmawiają wszelkich wyjaśnień. Oradobajew tłumaczy ten fakt powszechnym wyczerpaniem mas ludowych, rozczarowaniem, utratą wiary w obietnice rządu, pragnieniem „wycofania się” w życie prywatne. W pięć lat po zakończeniu wojny marksistowski mesjanizm zdaje się wywierać już tylko niewielki wpływ na młodzież sowiecką.

Sekretarz generalny Centralnego Komitetu Komsomołu ZSRR N. Michajłow konstatuje także, że utrata zaufania wśród młodzieży bolszewickiej do zadań narzuconych przez partię daje się odczuć szczególnie w środowisku akademickim. Cytuje on między innemi: „odmowa wszelkiej działalności politycznej, brak podstaw ideologicznych, uchylanie się od obowiązku służby wojskowej po ukończeniu wyższych studiów” „Bolszewik” 17 wrzesień 1950).

Michajłow z naciskiem zaleca jako lekarstwo niezwłoczne rozszerzanie działalności kulturalnej Komsomołu (lektura z zakresu literatury, sztuki teatralne w wykonaniu zespołów amatorskich, wyświetlanie filmów, stworzenie sieci radiowych, pracowni artystycznych etc.), szczególnie na wsi. W końcu, zwraca on uwagę na wychowanie sportowe, które przypada w udziale Komsomołowi, a którego ten ostatni nie doceniał do chwili obecnej. Doszło do tego, że w kołach sportowych sowieckich „robiono propagandę zacofanych teorii idealistycznych” (por. ten sam artykuł Michajłowa w przeglądzie „Bolszewik”). Wytworzyła się sytuacja nie do zniesienia, w której życie sportowe młodzieży sowieckiej wysuwało się często w ostatnich czasach spod kontroli Komsomołu i partii, która nie okazywała najmniejszej inicjatywy w tej dziedzinie („Izwiestia” 6 wrzesień 1950).

Kryzys w łonie Komsomołu jest, zdaje się, jedynie odbiciem o wiele większego i głębszego kryzysu, który przeciwstawia dziś w całym systemie politycznym i ekonomicznym ZSRR i na wszystkich szczeblach drabiny społecznej, przeciwstawia siły żywotne kraju — nieludzkim doświadczeniom marksizmu. Walka ta toczy się głucho i niepostrzeżenie, jakby niewidzialna dla postronnego obserwatora. Stopniowo jednak, żywioły przeciwne reżimowi zyskują na sile.

Tłumaczyła E. FUDAKOWSKA

Dwa wieczory adwentowe

MAM zdecydowaną awersję do wszelkich akademii i okazyjnych imprez literacko wokalnych. Cechuje je zwykle amatorstwo, niekompetencja, a nierzadko grafomańskie wyżywanie się lokalnych sław i pseudotalentów. Nuda jest zazwyczaj królową takich wieczorów, urządzanych z musu przez oficerów opieki. Z tych względów z zasadniczą niechęcią udałem się na urządzony w klubie towarzyskim a następnie powtórzony w Związku Inwalidów „Wieczór Adwentowy". Dodatkowo irytował mnie fakt, że tego typu imprezy nie urządził studencki „Veritas", o którego działalności kulturalnej nic nie słyszę od bardzo długiego czasu.

W lokalu YMCA czekała mnie nad wyraz miła niespodzianka: okazało się, że nawet przy największym krytycyzmie i złośliwości nie mógłbym do tego „Wieczoru Adwentowego" zastosować żadnego z wymienionych wyżej epitetów. Robota Olgi Żeromskiej, która opracowała imprezę, okazała się solidna, kulturalna i oryginalna. Ponieważ jest to, o ile mi wiadomo, pierwszy artystyczny wieczór adwentowy w Londynie, a może na całej tej wyspie, wypada go szerzej omówić.

Wieczór skomponowano z elementów literackiego słowa, muzyki i śpiewu. Poszczególne pozycje wiązała p. Żeromska starannie opracowanymi wstawkami opartymi na medytacjach Tomasza à Kempis; wieczór poprzedziła słowem. łączącym znajomość przedmiotu — liturgii katolickiej i zwyczajów adwentowych — z intymnością osobistych wspomnień z Wilna. Teksty literackie dobrano bardzo trafnie: Dobraczyński — fragment z „Wybrańców gwiazd" (w wykonaniu p. Modrzeńskiego), Wiersze Wojciecha Bąka, Norwida, Kasprowicza, Słowackiego, Ujejskiego i Staffa — wszystkie łączące się z tematem oczekiwania, religijnej kontemplacji, pełne metafizycznego zamyślenia, wreszcie fragment z „Popiołów" Stefana Żeromskiego. Wszystkie te utwory zostały bardzo dobrze podane bądź przez p. Żeromską, która w ostatnich miesiącach zrobiła wielkie postępy, stawiając swój kunszt recytatorski na bezbłędnym poziomie, bądź też przez p. Modrzeńskiego, o którego sumiennej pracy nad sobą miałem już możność pisać przy innej okazji.

Literaturę przepleciono zręcznie muzyką Chopina w dobrym wykonaniu prof. S. Niekraszowej i pieśniami Karłowicza i Moniuszki, odśpiewanymi bardzo poprawnie przez p. W. Fechtera.

Z uczuciem szczerej satysfakcji wracałem z tego wieczoru. Żałowałem tylko, że polot i sumienna praca organizatorów i wykonawców poszły w dużej części na marne z powodu słabej frekwencji publiczności. Znacznie lepiej dopisała publiczność na wieczorze u Inwalidów (sala przy Brompton Oratory), choć i ten wieczór nie zdołał wyrwać z apatii kulturalnej polskich studentów w Londynie.

(SP)

ARCYDZIEŁO MATISSE'A:

KOŚCIOŁEK W VENCE

TYGODNIK „The Tablet" przyniósł w artykule Kees Van Hoeka niezmiernie ciekawe szczegóły o kościółku Henri Matisse'a, o którym wspominaliśmy kiedyś w Kronice Kulturalnej. Podajemy je tutaj z niewielkimi skrótami.

Mniej więcej przed dziesięciu laty Matisse ciężko zachorował. Po ryzykownej operacji specjaliści orzekli, że Mistrz będzie żył najwyżej kilka miesięcy. Pielęgniarka, która opiekowała się chorym miała zamiar wstąpić do klasztoru, uległa jednak prośbom starszego pana i odłożyła realizację swego powołania zakonnego — bądź to do śmierci malarza, bądź też do zupełnego wyzdrowienia.

Po drugiej wojnie światowej, gdy Matisse cieszył się już dawno dość dobrym zdrowiem, Siostry Dominikanki postanowiły założyć schronisko dla pielęgniarek w Denice. Jedną z zakonic pracujących przy realizacji tego przedsięwzięcia, była siostra Jacques, była pielęgniarka Matisse'a. Ponieważ w młodości malowała ona trochę akwarelami, wykonała na próbę parę projektów witrażowych do nowej kaplicy i odszukała Mistrza, aby zasięgnąć jego rady. „Le docteur" — tak nazywano wielkiego malarza jeszcze w jego młodości z powodu małej, pielęgnowanej bródki — zaczął korygować projekty, a wreszcie postanowił, że sam je wykona. W miarę posuwania się naprzód tej pracy Matisse tak się rozentuzjazmował, że zaofiarował się zaprojektować całą kaplicę — od fundamentów aż do najdrobniejszego szczegółu wnętrza.

Siostry Dominikanki były zachwycone. Nie przejmowały się bynajmniej faktem, że dotychczas spod pędzla Mistrza wychodziły przeważnie nagie odaliski i rozkoszne nimfy. Zakonnice odwołały wszystkie poprzednie zamówienia, a ich architekt oddał się do dyspozycji malarza w charakterze technicznego doradcy. Jeśli chodzi o kompozycję kościoła, zostawiły Matisse'owi absolutną swobodę. Tej mądrości Dominikanek świat zawdzięcza powstanie arcydzieła: kościółka Matki Boskiej Różańcowej, ukończonego ostatnio na pokrytym winoroślą zboczu St. Paul-de-Vence, nad miejscowością Vence.

Trzeba przede wszystkim podkreślić, że po raz pierwszy w historii sztuki cały kościół został zbudowany i ozdobiony według projektu jednego artysty. Wszystko jest dziełem Matisse'a — od kształtu budowli, wymiarów ścian aż do cyborium i tabernaculum.

Praca ta wypełniła wszystkie dni paru lat życia Mistrza. Ponieważ dzieła Matisse'a osiągają na rynkach światowych — obok Picassa — najwyższe ceny, marszanci obliczyli, że gdyby sprzedano oddzielnie projekty i witraże już wykonane — osiągnięto by astronomiczną sumę 500 milionów franków. Za pracę swoją nie wziął Matisse ani jednego *sou*.

Nie tylko handlarze dzieł sztuki ponieśli straty na wielkodusznym czynie artystycznym malarza. Żona jego — rozwiedziona, czy separowana — uprawniona jest do otrzymywania połowy dochodów ex-męża. Jest to fanatyczna komunistka, zajmuje stanowisko burmistrza w jednym z miast w Pirenejach. Zarówno ona, jak i lewicowi przyjaciele Matisse'a prowadzą przeciw niemu zaciętą kampanię z powodu budowy kościółka w Vence. Komunistyczny poeta Aragon zapowiedział, że gdy komuniści dojdą do władzy kościół będzie zamieniony na muzeum. Myśl ta była wstrętna dla twórcy. Czym prędzej spisał specjalny kodycyl do swego testamentu (Matisse był kiedyś urzędnikiem u notariusza i od tego czasu żywi wielki szacunek do testamentów), w którym postanawia, że dzieło jego pozostanie darowizną tylko tak długo, jak długo kościół będzie miejscem publicznego kultu. Warto dodać, że Picasso wycofał się z kampanii antymatisse'owskiej, uwiedziony pięknem kościoła.

Dzieło wielkiego malarza nabiera także szczególnej — pozaartystycznej, ale bardzo ludzkiej i etycznej — wartości, gdy się zważy, że zostało wykonane przez starca (dziś 81 letniego), który już od szeregu lat wycofał się z czynnej pracy. Wszystkie projekty wykonał Matisse w łóżku, na specjalnym, przez siebie zaprojektowanym stole rysunkowym. W miarę posuwania się prac (do których używał specjalnie wymyślanych do tego celu narzędzi) Mistrz nie rozstawał się z modelami kaplicy. Raz na miesiąc udawał się ze swego mieszkania w Hotelu Regina w Cimiez (przedmieście Nicei) do Vence, by osobiście pilnować robót.

W miarę realizacji projektów, Matisse doszedł do przeświadczenia (które wyrażał publicznie), że cała jego sześćdziesięcioletnia praca artystyczna była jedynie przygotowaniem do stworzenia kościółka w Vence, który jest nie tylko arcydziełem jego życia, ale sublimacją całej jego sztuki i doświadczenia.

Podziw budzi cierpliwość artysty w wykończeniu każdego szczegółu. Stacje Męki Pańskiej projektował na nowo około pięćdziesięciu razy — jak gdyby wiedział, że ma dosyć życia, aby je skończyć. Stacje te nie będą stały oddzielnie na zewnątrz kościoła: umieszczone będą na ścianach zewnętrznych, tworząc jedną ciągłą panoramę czternastu obrazów.

Ołtarz umieszczono w ten sposób, że odprawiający Mszę świętą stoi twarzą do wiernych (versus populum).

Jedynym obok Matisse'a dekoratorem kościółka jest prowansalskie słońce. Kompozycja wnętrza jest czarno-biała, z wyjątkiem niewielu kolorowych cegiełek terrakoty w białej, marmurowej posadzce. A jednak świątynia gra wszystkimi barwami. Za ołtarzem są dwa okna w kształcie stylizowanych kaktusów w kolorach morskiego błękitu, zieleni i żółci. Intensywność płynnych linii czarnobiałych fresków na ścianie równoważy ten potężny efekt kolorystyczny. Ponadto kościółek ma piętnaście wysmukłych, eleganckich okien, sięgających od ziemi prawie do sufitu. Są one wspaniale kolorowe, z witrażami w stylizowane liście. Matisse twierdzi, że tam, na słonecznym południu, okna kościoła nie potrzebują głosić żadnej innej historii prócz chwały stworzenia, wysublimowanej w świetle.

NOWE FILMY

DWA FILMY DETEKTYWNE I TROCHĘ TEORII

Film: „She Shall Have Murder". *Kino:* Metropole, Victoria. *Produkcja:* Concanen (ang.). *Scenariusz:* Allen Mac Kinnon według powieści D. Ames'a. *Reżyser:* Daniel Birt.

Film: „The Man on the Eifel Tower". *Kino:* j. w. *Produkcja:* Irving Allen i Franchot Tone (ameryk.). *Scenariusz:* Harry Bown w/g powieści G. Simenona. *Reżyser:* Burges Meredith.

Spróbujmy rozpatrzyć dwa filmy wymienione pod nagłówkiem. Oprócz detektywnej treści obrazy te mają wspólny mianownik: oba zrobione są według powieści (pierwszy angielskiej, drugi francuskiej), oba wyprodukowane przez spółki aktorskie, przy czym „Człowieka na wieży Eifla" reżyserował Meredith, który sam gra w filmie jedną z głównych ról.

Ale na tym kończą się podobieństwa. Angielski film (którego umyślnie nie streszczam, aby czytelnik sam mógł skontrolować krytykę) nakręcony jest według klasycznej konwencji „whodunit'a" z pewną ilością podejrzanych o morderstwo i z kolejnym ich wyłączaniem przez detektywa-amatora. Zaletami „She Shall Have Murder" są: umiarkowany realizm postaci, bezpretensjonalność, solidność tła (londyńska dzielnica Kensington), poprawna gra Rosamund John, Derricka de Marney i in. i dobra kreacja charakterystyczna starej pani w ujęciu Mary Jerrold. Szwankują natomiast: reżyseria — nudna, wykładająca łopatą zupełnie oczywiste przejścia w akcji, — i montaż, miejscami po prostu zły (zbliżenia wybałuszających oczy aktorów). Dialogi słabe. W sumie film ten wydaje się zbyt amatorski. Jest to mieszanka wyrafinowania i naiwności — w połowie irytująca, w połowie zaś zabawna. Ta proporcja nie jest wcale najgorsza w porównaniu z licznymi szmirami w tym gatunku filmowym.

„Człowiek na wieży Eifla" jest utworem znacznie bardziej ambitnym, bardziej fachowo wykonanym, w ostatecznym wyniku stanowczo lepszym. Mamy tu znaczny procent elementów artystycznych: niebanalne zdjęcia (proszę zwrócić uwagę na ładny przykład filmowego *pars pro toto:* ciemne schody i wędrujący po nich dysk światła ręcznej latarki zastępujący człowieka), dobre plenary Paryża, pokazane bardzo obficie nową techniką kolorową Ansco, udatne i chwytające atmosferę, wreszcie piękną kreację Laughtona, który zdumiewa swą francuskością (choć z postaci chwilami przypomina do złudzenia G. K. Chestertona) i wspaniałą grą twarzy. Jest to chyba najlepszy na świecie malarz wnętrza przy pomocy wyrazu twarzy i umiarkowanego gestu. Burges Meredith stworzył dobrą postać roztargnionego krótkowidza, a Franchot Tone robił co mógł, aby wlać życie w niezbyt przekonywującą rolę czeskiego studenta-mordercy. Kobiety (Patricia Roc, Jean Wallace i Belita) nie miały pola do popisu. Język dialogów poprawny.

Jeśli chodzi o grzechy tego filmu, to są one jak gdyby odwrotnością zalet „She Shall Have Murder". Tam mieliśmy „łopatyzm" ale i prostotę — tu silenie się na psychologię. W filmie angielskim dość przejrzystą linię intrygi — w parysko-amerykańskim nadmierne jej powikłanie. W rezultacie postać studenta Radka jest mętna: psychopata, czy urodzony zbrodniarz, a jeśli to pierwsze, to z jakiej kategorii? Ucieka przed policją na szczyt wieży Eifla, by „zyskać poczucie mocy" i potem dokonać samobójczego skoku. Ostatecznie nie skacze — też nie wiadomo dlaczego. Zamieszanie to cechuje cały film: choć od początku wiemy, kto popełnił morderstwo, ciągle popadamy w wątpliwości co do szczegółów, motywów zbrodni, odpowiedzialności współwinnych. Nie jest to zamierzona, podniecająca tajemniczość, lecz po prostu mętniactwo i błędy reżyserii.

Wnioski ogólne: żaden z omawianych filmów nie jest dziełem sztuki w pełnym tego słowa znaczeniu; żaden nie obraża poczucia etycznego; oba warto obejrzeć dla ustalenia zasadniczego stosunku do filmów kryminalnych i rozrywkowych w ogóle, a „Człowieka na wieży Eifla" także dla fenomenalnego Laughtona.

St. Pał.

SPRAWY DRAŻLIWE

REFORMA ROLNA WE WŁOSZECH i GŁÓD W JUGOSŁAWII

JEDEN z pisarzy katolickich powiedział, że „bez „Manifestu" Marxa nie było by „Rerum novarum" Leona XIII. Tylko że Marx uprzedziwszy Kościół o 42 lata, popełnił straszliwe błądy tak ekonomiczne jak i dotyczące oceny natury człowieka, gdy Papież nie tylko żadnego z tych błędów nie popełnił, ale już 60 lat temu wskazał na wszystkie tragiczne pomyłki wiary marxistowskiej, które są obecnie nieszczęściem świata.

Kiedy więc zadowoliliśmy swą prawowierną próżność, że mamy bezbłędną teorię społeczno ekonomiczną, dotyczącą sprawiedliwości społecznej, stwierdźmy inny fakt, równie niewątpliwy, a na który uwagę zwrócił kiedyś Chesterton. A mianowicie, że katolicy ze społecznych encyklik papieskich ukuli nowe narzędzie ucisku swiata pracy, wziąwszy z dokumentów Stolicy św. nie to, co dotyczyło dobra robotnika, ale to, co, jak im się zdawało, bezwzględnie petryfikuje rzekomo „święte" prawo własności. Przyznajmy, że ten wielki pisarz powiedział odważną prawdę, którą potwierdził — sam Pius XI. Albowiem w 40 lat po Leonowej encyklice tak mało, tak nic katolicy nie zrobili w kwestii społecznej, że musiała przyjść nowa encyklika — „Quadragesimo anno"...

Ale i ona nie wiele pomogła, bo chyba licznych akademij w jej rocznicę przez katolików urządzanych nie będziemy uważali za praktyczną realizację jej zasad. To też ten sam Papież skarżył się potem w głośnej encyklice „Ad catholici sacerdotii", że byli tacy kapłani, którzy przez swą samolubną postawę zamiast prowadzić ludzi do nieba, stali się nieraz zawadą ich zbawienia, a w „Divini Redemptoris" (o bezbożnym komuniźmie) mówi o gorszących wypadkach, jakie się zdarzały, że możny kolator kościoła zakazał i uniemożliwił księdzu odczytanie wiernym z ambony encykliki papieskiej o konieczności odnowienia ustroju społecznego. Bodaj że w Polsce były takie dwa wypadki, a jak to podniósł publicznie X. Biskup Gawlina — poszły do Watykanu skargi na X. Biskupa Kubinę, że „sprzyja radykalizmowi", a Kard. Hlonda oskarżono o walkę z własnością prywatną.

Za egoizm, brak serca a nawet, na dalszą metę, za brak zrozumienia własnego interesu przez bogatych posiadaczy cierpią dziś także społeczeństwa katolickie. Tu tkwi też jedna z przyczyn rozwoju komunizmu we Włoszech. Niesprawiedliwy z dawnych czasów idący ustrój rolny tego kraju. skupiający w ręku niewielkiej ilości bogaczy większość ziemi z krzywdą dla bez i małorolnych, znakomicie sprzyjał i sprzyja agitacji komunistycznej, wysuwającej tak długo hasło podziału ziemi, dopóki komunizm nie osiągnie władzy i nie odbierze jej, z kolei, chłopom dla kolektywizacji. Dopiero obecnie Democrazia Cristiana przystąpiła do podziału ziemi. Na początek idzie 75.000 hektarów, które są rozdzielane pomiędzy 4.000 dotychczasowych dzierżawców. W drugim etapie parcelacją zostanie objętych dalszych 300.000 hektarów na Sycylii, Sardynii, Carigliano, Metaponte i dolinie Po, a wreszcie planowany jest podział ziemi w całych Włoszech.

Gdy we Włoszech rzeczy zaczynają iść ku lepszemu, Jugosławia dostarcza wymownego przykładu, czym jest marxistowski program „sprawiedliwości społecznej" — w praktyce. Oto pod wpływem przeprowadzenia kołchozów to państwo rolnicze stanęło przed widmem głodu. Ponury satrapa tego nieszczęsnego kraju, może najbardziej dotkniętego przez ostatnią wojnę, prosi Zachód o żywność, której w Jugosławii dawniej nie brakowało. Są tacy mędrcy nasi na emigracji, którzy, szczególnie w rozmowach z Anglikami chcąc się wydać bardzo nowocześni i postępowi, posługują się frazesem, że gdyby w Polsce panował „własny" ustrój komunistyczny, a nie bolszewicki, narzucony przemocą i kontrolowany przez Kreml, nic nie mieliby przeciw temu. Los Jugosławii jest przykładem, jak wygląda taki „własny" marksizm, który pod pewnymi względami jest jeszcze okrutniejszy, zwłaszcza na polu prześladowania religijnego, od bolszewickiego, co stwierdzał niedawno dziennik watykański. Jak donoszą obserwatorzy zagraniczni, właśnie prześladowanie religii w Jugosławii jest jednym z współczynników klęskowego stanu gospodarczego w kraju: chłopi opuszczają wieś, przenoszą się do miast, aby jakoś bardziej „zniknąć" w większej zbiorowości, a wydzieranie religii społeczeństwu osłabia jego energię i ochotę do pracy i życia. Mimo braku żywności i „dobrodziejstwa" kołchozów, wiele ziemi leży odłogiem.

(jt)

ZAPISKI LONDYŃSKIE

Brytyjskie wydarzenia kulturalne ostatniego okresu

PIĘĆDZIESIĄTA ROCZNICA ZGONU OSKARA WILDE'A

Dnia 30 listopada 1900 r. zmarł w Paryżu wybitny pisarz i esteta angielski, Irlandczyk z pochodzenia, Oskar Wilde. Wilde osiadł w Paryżu po zwolnieniu go z więzienia w Reading, gdzie odsiadywał karę za przestępstwo natury obyczajowej; proces jego narobił wiele wrzawy w całej Anglii, u samego schyłku epoki wiktoriańskiej.

W związku z tą rocznicą ukazało się parę książek, poświęconych Wilde'owi — nie tyle jednak jego twórczości, co właśnie „skandalicznej" stronie jego życia. Najpierw więc w serii „Notable British Trials" pojawił się opis procesu Wilde'a, opracowany na podstawie akt sądowych (H. Montgomery Hyde, Editor: „*The Trials of Oscar Wilde*", Hodge, cena 15s.). Ukazało się drugie wydanie wspomnień lorda Alfreda Douglasa, którego niektórzy uważali za złego ducha Wilde'a („*Oscar Wilde. A Summing Up*", The Richards Press, 12s. 6d.) Wspomnienia swoje ogłosił również, na spółkę z Percy Colsonem, markiz of Queensbury („*Oscan Wilde and the Black Douglas*", Hutchinson, 20s.). Wreszcie ukazał się po raz pierwszy pełny tekst „*De Profundis*", utworu, który Wilde pisał w więzieniu (pod redakcją Vyvyan Holland, Methuen, cena 10s. 6d.).

Bernard Shaw wyraził się kiedyś o Wildem, że potomność powinna czytać jego dzieła, a zapomnieć o życiu. Autor artykułu o Wildem w „Times Literary Supplement" jest innego zdania. Według niego Wilde, poza jedną doskonałą sztuką teatralną, jednym godnym pamięci poematem i ogłoszoną obecnie pełną wersją „De Profundis" niewiele po sobie pozostawił, czym by przyszłe pokolenia mogły się interesować.

Wilde pochowany został na paryskim cmentarzu Père Lachaise. Z okazji pięćdziesięciolecia jego zgonu odbyła się na tym cmentarzu uroczystość, w czasie której przemawiał Andé Maurois i paru innych przedstawicieli francuskich kół literackich.

GRAHAM GREENE JAKO PISARZ DLA DZIECI

Wybitny angielski pisarz katolicki, Graham Greene, który zdobył sobie taką sławę powieścią swą „Sedno sprawy", ogłosił obecnie książki dla dzieci pt. „*The Little Fire Engine*". Są to dzieje strażaka z Little Snoreing, Sama Trolleya, ilustrowane przez M. Parrisha. Książka rzucona została na rynek gwiazdkowy.

Greene poprzednio już wydał książkę dla dzieci pt. „*The Little Train*", nie podpisał jej jednak swym nazwiskiem.

BARBARA WARD OPUŚCIŁA ANGLIĘ

Barbara Ward, działaczka katolicka, współredaktorka tygodnika „The Economist" i „gubernatorka" B.B.C. wstąpiła w związki małżeńskie z Komandorem Robertem Gilmanem Jacksonem, Australijczykiem. Ślub odbył się w kościele katolickim w Felixstowe. Mąż jej liczy lat 39, ona sama 36. Po ślubie udali się drogą powietrzną do Australii.

Trzyletni kontakt B. Ward w B.B.C. właśnie dobiegał końca.

ZWYCIĘSTWO „SABATYSTÓW"

Większość, jaką Izba Gmin odrzuciła wniosek rządowy o otwieranie „wesołego miasteczka" w Battersea Park w czasie przyszłorocznego „festiwalu brytyjskiego", przeszła niewątpliwie wszelkie oczekiwania. Przeciw wnioskowi głosowało mianowicie 389 posłów, za otwieraniem „wesołego miasteczka" tylko 134, niemal wyłącznie z Partii Pracy.

Okazało się, że tam gdzie wchodzą w grę pewne tradycje, głęboko wkorzenione w społeczeństwo brytyjskie, tam nawet względy materialne schodzą na bok. Zakaz otwierania „Wesołego miasteczka" w niedziele znacznie powiększy deficyt festiwalu. Powstałą w ten sposób dziurę zapełnić będzie musiał „taxpayer" brytyjski, o którym tak często słyszy się przy różnych sposobnościach.

PO ŁEPKACH

ŁEBI I ŁEPEK

Jak sam tytuł felietonu wskazuje, chodzić w nich będzie o dwojakiego rodzaju łepki (łebki). Wyraz „felieton" nie da się lepiej przełożyć na język polski, jak właśnie zwrotem „po łepkach". Jest to z francuskiego — utwór ulotny, jak liść, błahostka literacka, pisarska bańka mydlana, rakieta festynowa, a więc przedmiot potraktowany pobieżnie i bez powagi — po łepkach. Przeznaczony jest więc felieton dla uciechy, jak wszystko co się świeci i mija jak błysk i szemrze jak liść. Przeznaczony jest wszakże ten rodzaj literacki i dla ludzi, którzy w bańce mydlanej dostrzegają tęczę i słońce, a w majestatycznym opadaniu liści los własny.

Przywilejem rodzaju piśmienniczego po łepkach jest też prawo dobierania się do karków, zmywania głów, walenia po łebkach. Stąd też tytuł: „Po łepkach" opasuje granicą całe królestwo pojęcia felietonu.

Różnica „łepka" i „łebka" jest zresztą tylko pozorna. W rzeczywistości różnica taka nie istnieje. Cóż to bowiem jest łeb? Jest to prasłowiański wyraz, złożony z czterech głosek: ł, b i dwu jerów twardych, oznaczający twardy, obły i często łysy wierzchołek. W języku starocerkiewnym łobnoje miesto znaczyło tyle, co Golgota. Jer twardy na końcu wyrazów (t.zw. wygłosowy) w języku polskim — jak to powszechnie doskonale wiadomo — znikł bez śladu. Jer zaś śródgłosowy po spółgłosce twardej zmienił się w języku polskim w „e" i alteruje z zerem dźwięku: łeb — łba.

Skąd jednak u licha łepek zamiast łebka? Otóż to — skąd? Lingwiści po prostu nie wiedzą. Stwierdzają tylko fakt, że łepek istnieje. Język bowiem jest to jedna z największych tajemnic życia i olbrzymia większość ludzi łudzi się sądząc, iż zna swój język rodzimy.

Język — powiedzmy — jest jak morze. I oto przychodzą nad jego brzegi dostojni starcy z siwymi brodami, panie nauczycielki z trzódką (czeredą) dzieci, zuchwali poprawiacze, naprawiacze i czyściciele. poeci z płonącymi głowami i pospolita sfora inteligencji. Powiadają jedni: zmienimy granice morzu. Mówią drudzy: nakreślimy stałą linię dla przypływów. Rzeką inni: wybierzemy więcierzami i czerpakami chwasty morskie. Krzykną tamci: przesiejemy przez rzeszota i sita morski piasek, aby morze było czyste. Ci tedy i tamci i owi głupi są — i w sercu swoim i w łepku swoim. Morze jest bowiem żywiołem. Język jest także żywiołem.

Wróćmy jednak do łepka. Oto podnosi się zza katedry dostojny profesor i rzecze: nie ma łepka! Oto pani nauczycielka, przerabiająca Słowackiego, zaperzy się: ależ tylko łebek! I dyrektor teatru, utkany z pajęczej nici uśmiechu i pisarz — apostoł, utkany z woli narodu i jego posłannictwa, bekną dwugłosem: nie dość, że nie ma łepka, aleć na dobitkę nie wymawiacie pięknego, płynnego polskiego „ł"! Język bowiem — ich zdaniem — ma być czysty i jędrny.

Jędrny tak samo nic nie znaczy, jak czysty. Bo co jest czystego w naturze: rzeka? las? ziemia? człowiek? Jędrny, to taki co ma jądra. Język zaś jako żywo... Ów „jędrny", to ulubione określenie języka i stylu wszystkich bez mała naszych historyków literatury. Dlatego chyba, że nic nie znaczy.

Ale wróćmy do łepka! Łeb, łbica, przyłbica, może i łebski — prawda. Ależ nikt nie zaprzeczy, że ptaszek ma łepek, że zdolny chłopczyk, to łepak, a głowa nie do pozłoty zwie się łepetą lub łepetyną. Jeśli potrzeba autorytetu, proszę bardzo: Słownik etymologiczny języka polskiego Aleksandra Brucknera. Oczywiście nauczyciele, literaci, profesorowie i wszechwiedni inteligenci powiedzą: jest to naleciałość gwarowa. Gwarowa? A język literacki powstał z czego? Czy aby nie z gwary? Czy gwara a raczej gwary nie są bardziej konserwatywne od języka miast i literatury?

Oboczność fonetyczna (pod względem dźwięczności) łebek i łepek należy do tego samego rodzaju zjawisk, co: deptać/tupać, wielgi/wielki, drętwieć/trętwa, dłamsić/tłamsić, skrzypieć/zgrzypieć, kańczuk/kańczug, pryskać/bryzgać, skon/zgon, paprać/babrać, trzaska/drzazga i wiele innych. Jan Łoś, jeden z największych polskich językoznawców, nie umiał znaleźć wytłumaczenia na te zjawiska i podobnie jak wszyscy inni lingwiści, określił je jako wywołane „przyczynami nieznanymi". Tak to już jest i w nauce i w obyczajach: im kto uczeńszy, tym mniej ma pewności i im kto obyczajniejszy, tym mniej posiada poczucia własnej wartości. Toteż ludzie najbardziej pewni siebie są najmniej pewni dla drugich.

Skoro już te pierwsze „łepki" poświęcone są językowi, warto też słówko poświęcić jednej z trosk emigracyjnych: ortografii. Niewiadomo, jak tam w szkołach, ale poza nimi nikt na emigracji ortograficznie nie pisze. Przykrość oczywiście znaczna, ale jest pewna pociecha: nikt nigdy w Polsce ortograficznie nie pisał. Za dawnych czasów należało do dobrego tonu pisać nieortograficznie i mieć w tej dziedzinie własne ideje. Ktoś kiedyś napisał „w Polszcze" i tak to przypadło do gustu publice, że przez długie lata pisownia „w Polszcze" uchodziła za uroczą modę.

W wieku natomiast XX (pamięć niżej podpisanego niestety dalej nie sięga) z ortografii uczyniono przepis dobrego wychowania. Pisać nieortograficznie, to było coś niemal nieobyczajnego i wstydliwego, jak n.p. niedopięty ubiór, świeczka pod nosem lub głośne jedzenie. Wada niby drobna, ale bardzo nieprzyjemna. Najpiękniejsze wypracowanie szkolne było na nic, skoro uczeń napisał „krulik" przez „u zwykłe". Narzeczona gotowa była porzucić amanta, jeśli w liście znalazł się wyraz „porządanie". Inteligencję najczęściej określało się zwrotem : „Ależ on nie zna ortografii!"

Epoka ortograficzna polskiej kultury, której najbujniejszy rozwój przypada na lata między dwiema powszechnymi wojnami, da się porównać tylko z okresem palenia czarownic. Bo ortografia, jak każda norma, jest pożyteczną i niezbędną. Ale kryteria kultury i inteligencji mierzone ortografią są pospolitym, czarnopodniebiennym przesądem.

Pierwszy podręcznik ortografii polskiej pochodzi z roku około 1440 i jest autorstwa Jakuba z Parkosza, który wyraz „wiercimak" każe pisać „vercimaak", „biel" — „beel", „drąg" — „druug", „chwyta" — „ffitaa" itd. Wtedy więc vercimaak, beel i ffitaa, to była właściwa ortografia, którą zresztą stosował tylko projektodawca. Jak mniej więcej pisano w wieku XV, unaocznić może „Wiersz o zabiciu Jędrzeja Tęczyńskiego":

A yaczy tho szly ludze myeszczanye Cracovianye,
zeby pana swego, wyelkyego choragyewnego,
zabylyscze, chlopy, andrzeja thanczinskyego,
boze scha go poszaluy,
czlowyeka dobrego!

Taki pewnie dobry był Jędrzej Tęczyński, jak i ta ówczesna pisownia. Trzeba przyznać, że ortografia polska w epoce przed wynalezieniem druku była dowolna, jednakże poszczególni pisarze a zwłaszcza przepisywacze trzymali się konsekwentnie postawionych sobie zasad.

Klasyczną ortografię polską ustalili drukarze (wydawcy) krakowscy w XVI wieku. Historia nie przekazała nam tej wielkiej daty, kiedy z pewnością w jakiejś oficynie krakowskiej towarzysze sztuki drukarskiej (Jan Haller, Florian Ungler, Hieronim Wietor, Matys Wirzbięta, Łazarz Andrysowicz i inni) powzięli wiekopomną uchwałę o stałości pisowni czyli ortografię. Rzecz jasna pisownia ta odpowiadała ówczesnemu stanowi języka i jest dla naszych oczu raczej kłopotliwa. Niech świadczy fragment z wytwornego „Dworzanina" Łukasza Górnickiego: „Y nasz ięzyk Polski rychłoby vrosł, gdybysmy się go rozmiłowali, ale niewiem, czemu tak podle rozumiemy o swoim iężyku, iakoby Laćińskich nauk w się wziąć nie mogł, czo sie mnie wielkie głupstwo widzi." (Nad każdym „a" t.zw. „nieściągniętym" stawiało się w dodatku znak taki, jaki dziś stawiamy nad ó).

Drukarze swoją drogą, ale pisarze swoją. Cóż mówić o społeczeństwie? Ortografia wieków XVII i XVIII nawet w drukach staje się „brogiem, ale co krok, to innego rodzaju". Nawet Ignacy Krasicki, mistrz nad mistrze pięknej polszczyzny, pisał fatalnie: „Pisownia autografów Krasickiego — pisze prof. Tadeusz Lehr Spławiński w „Języku polskim" (Warszawa 1947) — dość niedbała (zwłaszcza w zakresie interpunkcji), była poprawiana i normalizowana przez wydawców i drukarzy... W ogóle wydawcy ówcześni mieli sporo kłopotu z pisownią stosowaną przez autorów: była ona na ogół bardzo chwiejna i bałamutna... Wydawcy i drukarze starali się ją normalizować... Stan ten utrwalił się jeszcze silniej zwłaszcza w latach osiemdziesiątych XVIII w., kiedy powszechnie prawie przyjęła się pisownia ustalona przez ks. Onufrego Kopczyńskiego w jego „Gramatykach dla szkół narodowych".

Ksiądz Kopczyński ustalił ortografię polską na lat sto i jego to, a wcale nie języka polskiego, dobrodziejstwem stało się rozróżnianie rodzajów w przypadkach —em, —ym, —emi, —ymi. Ortograficzny ten pomysł stał się przyczyną literackiego rozróżniania rodzajów w przypadkach (dobrym mężem, dobrym imieniem), a dziś wielu donkiszotów gotowo jest przysięgać, iż uproszczenie ostatniej ortografii, dokonane przez Polską Akademię Umiejętności, jest jakoby gwałtem, zadanym polszczyźnie.

Nawiasem mówiąc ortografia zawsze pasjonowała ludzi. Znany jest wiersz o ks. Staczycu:

„Czy znacie księdza Staszyca,
Co zamiast oica pisze oyca?"

Dziś nie piszemy ani oica ani oyca, lecz ojca. Ale wówczas był to problem o wiele gorętszy, niż dzisiejsza kwestia ortograficzna, jak mianowicie pisać „rada" — czy „polityczna" czy „narodowa"? (Ś. p. Prof. Ign. Chrzanowski zadał mi przy egzaminie pytanie, czy wiem, dlaczego „koniec" pisze się przez dwa „c". Otóż — żeby był dłuższy.)

Przed Polską Akademią Umiejętności do ortografii zebrało się warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, ale poziom dyskusji na jego zebraniach był w tym przedmiocie niewiele wyższy od poziomu współczesnych nam otorgraficznych katonów. Głos gen. Józefa Mrozińskiego, geniusza lingwistycznego na owe czasy, był odosobniony i zupełnie niezrozumiały.

Za dużo już tych ortograficznych przypomnień, tedy jeszcze tylko dodać trzeba, iż żaden z naszych wielkich pisarzy romantycznych nie pisał w pełni dobrą ortografią. Nie znają jej też oczywiście i pisarze dzisiejsi. Znają ją po łepkach. Nie mają jej w łebkach.

Jan Bielatowicz

NOTATKI

PO STRONIE DEMOKRACJI TO ZNACZY...

W „DZIENNIKU", w sprawozdaniu z pokazowego procesu w Pradze przeciw księżom czeskim czytamy, że przełożony norbertanów o. St. Jerolimek, na pytanie sędziego po czyjej stronie stoi Watykan, odpowiedział:

— „Po stronie demokracji, to znaczy demokracji zachodnich"...

Nie potrzeba dodawać, że to zdanie udręczonego norbertana wydrukował „Dziennik" tłustym drukiem. Nie wiadomo, oczywiście, czy „Dziennik" wiernie zacytował wypowiedź zakonnika. — Nieufność w tej mierze do tego pisma jest, niestety, uzasadniona.

Przypuśćmy jednak, że nie jest to spreparowane ani przez sąd praski, ani przez agencję ani przez kogokolwiek. Otóż — tak nie powie żaden kapłan. „Watykan" nie jest „po stronie" demokracji zachodnich. Nie tylko dlatego, że w tym koszmarnym konflikcie jedna strona nie reprezentuje samej tylko zbrodni a druga samej słuszności. Nie tylko dlatego, że demokracje zachodnie są materialistyczne i, mimo znanych deklamacji, tak bez godności chrześcijańskiej, że nawet postanawiano w tym tu „wolnym świecie" zmienić nazwę „Czerwony K r z y ż", aby ten znak, któremu sprzeciwiać się będą, nie raził delikatnych uszu. Nie tylko dlatego, że bardzo dobrze obywają się bez Boga...

Ale dlatego, że „Watykan" nienawidzi wojny i głosi, że w dniu, w którym zapomnielibyśmy o chrześcijańskim obowiązku działania dla pokoju „nie bylibyśmy już chrześcijanami", że nie jest dla jednego narodu czy jednej części świata ale dla wszystkich, dla całego świata, że dla wszystkich ma serce jednakowe z tym, iż, za wzorem Zbawiciela, okazuje szczególną miłość względem tych, którzy go prześladują i potwarzają, chociaż nie przestaje ich upominać surowo. Że wierzy nie w demokracje wschodnie czy zachodnie, lecz w modlitwę i życie na miarę modlitwy, nie w mężów stanu, lecz w świętych, bo tylko oni zmieniają oblicze ziemi na lepsze, a nie bomba atomowa. Nie jest też, jak mu przypisywano, za żadną trzecią siłą między kapitalizmem a komunizmem, bo, jak czytamy właśnie w „watykańskiej" gazecie, jego „terza forza e sempre la stessa: Iddio": jego „trzecia siła" jest zawsze ta sama: Bóg.

jt

ŻYCIE Katolicki Tygodnik Religijno Kulturalny. Wydaje: **Veritas Foundation Publication Centre.** Adres redakcji i Administracji: **Polish Weekly, ŻYCIE, 12 Praed Mews, London W. 2.** Telefony: Redakcja i Administracja: AMB 6879. Drukarnia: PAD 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: Codziennie z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt **tylko od godz. 3.30 — 4.30 po poł.** Administracja czynna **codziennie od godz. 9 — 13 i od 14 — 17** — z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja **żadnych rękopisów nie zwraca.** W wyjątkowych wypadkach na ew. zastrzeżony zwrot prosimy dołączyć znaczki pocztowe. **Prenumerata** płatna jest z góry i wynosi: **miesięcznie 4/6, kwartalnie 13/-, półrocznie 26 sh. Wszelkie wpłaty** przekazywać należy Postal lub Money orderami, względnie czekami bankowymi **„crossed"**, wystawionymi na Veritas Foundation Publication Centre. CENY OGŁOSZEŃ: 1 cal przez 1 łam £ 1; **w tekście** 50% drożej, na stronie **tytułowej** 100% drożej. **Prenumerata zagraniczna:** SZWECJA: miesięcznie 3.50 kr., kwartalnie 10.00 kr. Przedstawiciel: Mgr. KUROWSKI. Anggatan 6 c. Lund. Sverige. Sweden. NIEMCY: miesięcznie 2.50 DM. kwartalnie 7.00 DM. ARGENTYNA: cena 1 egz. — 2 pesos, kwartalnie 26 pesos, półrocznie 52 pesos. Przedstawiciel: J. MIECZNIKOWSKI & T. DĄBROWSKI. Składnica Książki Polskiej. Av. Leandro N. Alem 641 — Buenos Aires. SZWAJCARIA: kwartalnie 3.50 frs. Przedstawicielstwo: PKSU VERITAS, Section Suisse, Case Postale 19, Fribourg 2. USA: kwartalnie pocztą zwykłą 2 dol.; pocz tą lotniczą — 5 dol. Przedstawiciel: A. Stojanowski, 36, Dearborn Ave, Rye, N.Y.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W.2. Tel.: PAD 9734